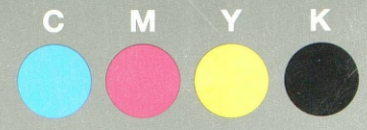
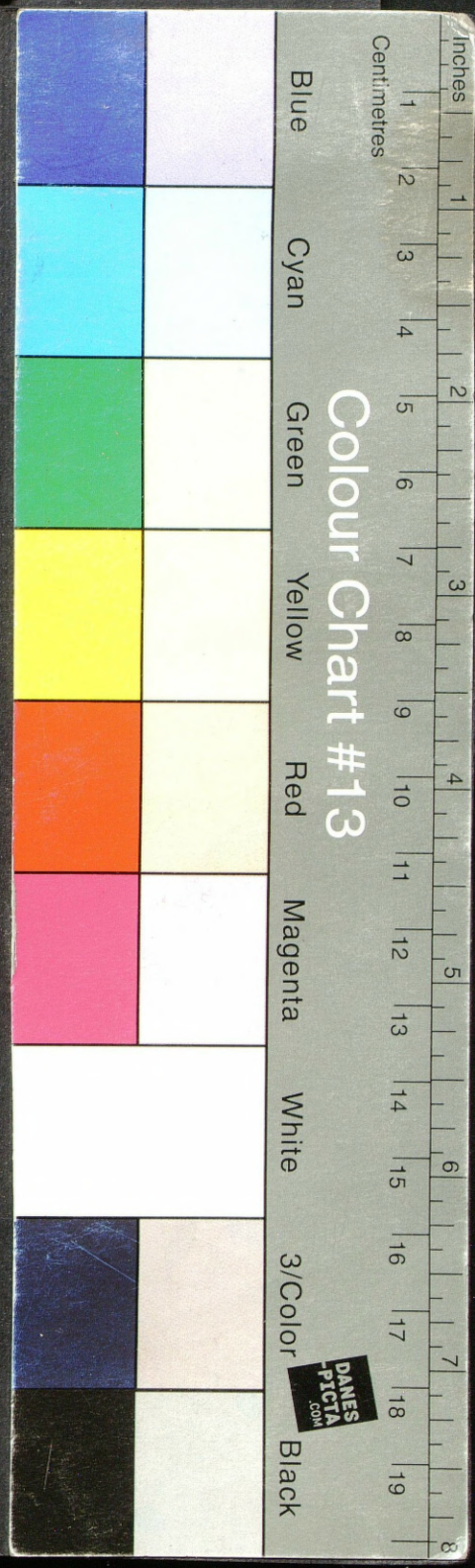
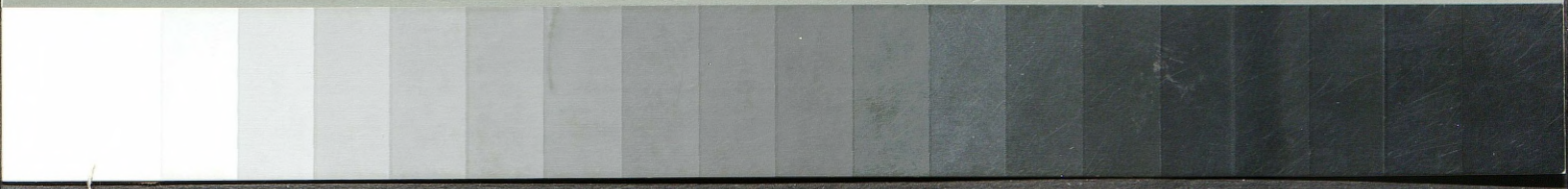


Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Colour Chart #13

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

Inches 1 2 3 4 5 6 7 8
Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19





PRAWOWITOŚĆ I LOJALIZM

KRYZYS MYŚLI POLSKIEJ.

Ks. L. ZBYSZEWSKI
LICENCYAT ŚW. TEOLOGII Z COLLEGIUM ROMANUM.

PRAWOWITOŚĆ i LOJALIZM.

KRYZYS MYŚLI POLSKIEJ.

WYDANIE DRUGIE.



W KRAKOWIE,
NAKŁADEM KSIĘGARNI KATOLICKIEJ
Dra Władysława Miłkowskiego.

1897.

149: 215: 17



32443 / 2

II, 235

W KRAKOWIE, CZCIONKAMI DRUKARNI ZWIĄZKOWEJ,
pod zarządem A. Szyjewskiego.

I.

Po długim błąkanii się manowcami filozofii bez Boga, umysł ludzki mniemał kiedyś, że spocznie w pozytywizmie. »Nic prócz rzeczywistości, nic prócz tego co się da zmysłami objąć, i precz z marzeniami:« to było hasło. »Niewidzialnego świata nie przeczyimy, tylko nie wiemy nic o nim; jeżeli z postępem czasu, potrafimy go poznać zmysłami, to i jego wciągniemy w rachubę«.

Lecz umysł ludzki nie spoczął — nie dlatego żeby nie potrzebował żyć rzeczywistością — ona mu jest jak powietrze — ale dlatego że to co pod zmysły podpada jest tylko połową rzeczywistości, a rozum potrzebuje całej prawdy, i widzialnej i niewidzialnej.

Coś podobnego dzieje się u nas w dziedzinie polityki narodowej. Po marzeniach i błędach długiej epoki rzekło się: staniemy na rzeczywistości, i, podobnie do tego jak było z umysłem ludzkim, stanęło się tylko na jej krawędzi, na tem co bliższe, co widome i dotykalne, czyli na polityce bezpośredniego utylitaryzmu, nie biorąc w rachubę tego co w narodach jest rzeczywistością niewidzialną, a co jednak jak dusza w ciele, jest główną stroną natury społecznej. Albo jeśli ta strona i wzięta była na uwagę, to przy zapoznaniu jej istoty i warunków. Tą niewidzialną stroną, czyż potrzeba to dodawać, jest, dla narodu katolickiego, przepływający przez jego żyły prąd życia Bożo-ludzkiego, skierowanego wyłącznie ku spełnieniu zamiarów Bożych na ziemi.

Ponieważ zaś, w narodowym życiu, z żadną rzeczywistością nie wolno się rozstawać, a tem bardziej z tą Bożą, więc musiało się stać to czego jesteśmy świadkami. Skutkiem bowiem tego, choćby częściowego, zapoznania samej essencji życia, nastąpiła, jeśli nie ateizacya, jak na zachodzie, to laicyzacya jego, choć mitygowana, wszakże tak daleko idąca, że uznaje, wprawdzie w katolicyzmie główną »podstawę bytu narodowego« ale się chce zażywać go po ludzku. Musiało też przyjść do rozstroju w myśli narodowej, — a obecnie patrzmy na jej kryzys. W co ma naród ufać? którądy ma iść, aby nie opuścić rzeczywistości, nie wpaść w poprzedniej epoki błędy, a jednak pozostać sobą?

Jesteśmy na rozdrożu daleko rozchodzących się kolei. Jedna z nich, szuka, nie wyzwolenia narodu, lecz wyzwolenia z nędzy klas niższych, i dochodzi logicznie do wynarodowienia, od dołu, przez socjalizm.

Druga zmierza do znalezienia bytu politycznego w samemże rozkwicie mocarstw rozbiorowych. Niby Jonasz prorok zgadzający się na swój los we wnętrzu potworu. Więc jednemu uśmiecha się marzenie, abyśmy się stali zamiast — niemoralnej spójni między współzbrodniarzami — moralnym ich łącznikiem przez naszą hegemonię duchową. Inny stawia reguły polityki, i rzeźbi, na dwunastu spiżowych tablicach, prawa życia polskiego w Rosyi przekalkowane z tychże praw w Austrii: więc zespolenie się z dynastją, z interesem państwowym rosyjskim, — bo nie może być złem w Rosyi co dobrem okazało się w Austrii. Inny jeszcze idąc dalej w tym samym kierunku odkrywa, że Bohdan Chmielnicki przedstawiał w Polsce zasadę monarchiczną, co prowadzi naturalnie do wniosku, że dziedzice praw hetmańskich, carowie, dotąd walczą z dziedzicami tych, których Bohdan »Królikami« nazywał, o tryumf zasady monarchizmu. W ten sposób krytycy niemieccy znaleźli Bismarkowi protoplastę w sprawie jedności niemieckiej, i to w tym zboju Götzu z Berlichingen!

Inni znów zapóźnieni, w trzymaniu się wszechświatowej

Rewolucyści licząc na jej pomoc, agituja, skarb narodowy zbierają, manifestacye urządzają, pięście sobie wyrabiają i drugim niemi grożą. Z tymi, jako niechęcącymi się liczyć z żadną rzeczywistością, ani widzialną, ani niewidzialną, w spór niema co wchodzić, tem mniej, że nic ich od ich celów i metod nie odwiedzie. Jak owe trupy co się w pewnych jaskiniach niezmiennie przechowują, tak oni są w duchu rewolucyjnym zmonifikowani, z mózgiem, z oczami, ze słuchem, ze słowami, ze wszystkim.

Czy to nie jest kryzys polskiej narodowej myśli, tej myśli, która choć błędziła przed laty trzydziestu ale w tem błędzeniu nawet miała jakiś majestat dogmatu? Nikt nie śmiał wtedy wątpić o jej nieomylnych drogach i ofiarowywać się jej za przewodnika. Dziś poznaliśmy błędy — ale nie przyczyny błędów, boć to nie są przyczyny, które nam podają pseudo-lekarze, ukazując palcem nieuniknione słabostki ludzkie i nauczając jak je jedni w drugich mamy wycinać, byle nie w samych sobie.

I nie w tem jest kryzys naszej myśli narodowej, że są rozmaite sposoby jej pojmowania — bo to nieuniknione. Lecz w tem, że zachwiane są kryteria pewności moralnej za pomocą których sądziliśmy o sprawie naszej. Bo skąd pewność że tak a tak czynić lub wierzyć należy jeżeli nie stąd, że taka jest, albo zdaje się być, wola Boża. Póki sobie wyobrażaliśmy — choć w wielkiej części błędnie, bo przedstawicielami Boga byli nam poeci i marzyciele — pókiśmy, mówię, myśleli że Europa nas podnieść musi, zwłaszcza będąca pod wpływem ducha Napoleonów — póty to dogmatyzowanie trzymało ducha w jedności. A teraz każda nowa myśl jeśli nie szuka Bożej myśli, jest mnożeniem duchowej anarchii. I rzecz to ciekawa i smutna zarazem, — lecz za potrzebą oparcia się w tem na Bogu najwymowniej przemawiająca, — że ten który się podaje za założyciela »Szkoly Stańczykowskiej« głównie wymierzonej przeciw zarazkowi u nas anarchii, ten sam przyczynia się tak bardzo do krzewienia tego zła przez swoje teorie polityczne.

Bo tylko uznana powaga może potężnie skupić w koło siebie rozproszone nasze duchy. A dziś — i niemały w tem postęp — gdzie szukać, jeżeli nie w Bogu, powagi, przed którą chyba niewierzący weń odmówi schylenia głowy? Po za zjednoczeniem się przy poznanej świętej Woli Bożej, o ile dano nam jest poznawać ją w Kościele, będzie tylko rosło zamieszanie pojęć ogólne.

Któż dziś wie, z pewnością, jakiej drogi się trzymać, kiedy najlepsi się chwieją. Iluż to zwątpiło o przyszłości naszej, i o sprawiedliwości Bożej. Iluż zapomniało że sprawiedliwość musi wziąć górę, jeśli Kościołowi Bożemu, w ogóle, zgotowany jest jeszcze, choćby chwilowy tylko, tryumf na ziemi! A nie wyglądać tego tryumfu — nie mówimy kiedy, bo nie wiemy — jest to przypuścić, że Bóg liczy się z rzeczywistością po naszymu, że, co do zamiaru swego ostatniego, wchodzi w kompromisy; odstępuje od ziszczenia Królestwa Swojego na ziemi; że wchodzi w układy ze zbuntowanymi narzędziami swej kary, które ofiar wypuścić nie chcą; i że stara się od ich ustępstw otrzymać choć pozory czci dla siebie, nie mogąc już nic zrobić dla dusz i dla ludzkości!

Bo jeśli to absurdum, jak każdy widzi, to Prawda i Sprawiedliwość, ale po Bożemu pojęte, zwyciężyć muszą; i koniecznie zwyciężą czy to w stosunkach wewnętrznych; czy międzynarodowych. Rozstroiły się te stosunki jednocześnie, bo są stronami tej samej rzeczy. Rozstrajają się dalej przez socjalizm i rewolucyą; przez gwałty i zabory własności Kościołowi, narodom, stowarzyszeniom, jednostkom; rozstraja je zły obyczaj rodzin i rozstraja zły skutek jego: »emancypacya kobiety«; rozstraja je niewiara i zabobon sekciarski. A że się te rzeczy razem trzymają, więc, albo wszystko bieży ku ostatecznej zagładzie, i wtedy, niema co politykować; albo też wszystko to powstanie razem wtedy, kiedy socjalizm, rewolucyą, siła materyalna, mądrość polityków okażą się bez mocy, albo wtedy, kiedy chrześcijańskie zechcą razem złemu się oprzeć. Wszak nam powiedziano

Nolite timere pusillus grex quia complacuit Patri vestro dare vobis regnum. Nie bójmy się, zwyciężymy.

Tylko trzeba wierzyć, że, w tej burzliwej nocy, Pan się ukaże wiosłującym i walczącym niezmordowanie. Bez prorokowania, można już dojrzeć jak się zbliża, deptąc po grzbietach fal, i mówi nam jak ongi Piotrowi: »Małej wiary czemuście wątpili!« W dziejach Izraela czytamy, — a było to w przeddzień jego odrodzenia — że takż zwątpiono na górze Syon, bo ciemno było na ziemi w dni one, a z nieba nie spadał na ciemieżców żaden grom. »W one dni, pisze księga pierwsza Machabeuszów, (I, 12) wyszli z Izraela synowie niezbożni, i namówili wielu, mówiąc: Pójdźmy a uczynmy przymierze z narody, które w koło nas są, bo od tego czasu jakośmy od nich odstąpili, wiele złego nas nalażło«. I uczynili tak, i spoganieli. A gdy, dla ocalenia »bytu narodowego«, to uczyniwszy z polityki, już już ginęli, wtedy z ramienia Bożego »powstał Matatyasz« ojciec Machabeuszów ku ratowaniu wiary uciskanej. A gdy nie można było jej wyzwolić inaczej jak przez niepodległość narodu — Bóg dał niepodległość.

Potrzeba nam więc ratować jedność duchową narodu przez wlanie weń pewności moralnej, wiary w przyszłość, ale nie na ludzkim choćby najgienialniejszym widzimisię opartą, lecz na Bogu, z którego jedynie pewność i moc ożywcza czerpią rzeczy moralne.

Należy więc nam szukać Woli Bożej względem nas, by wyjść z chaosu. W obecnych kartkach zamierzamy uczynić pod względem stosunku naszego do rozbiorowych mocarstw, to cośmy probowali gdzieindziej¹⁾ zrobić co do wewnętrznego naszego przeobrażenia społecznego, szukając w jednej i drugiej stronie naszego życia narodowego co Bóg nam chce przeznaczyć, aby do tego stosować nasze

¹⁾ W »Demokracji katolickiej w Polsce« której obecna broszura jest dopełnieniem.

pojęcia i czynności. Jeśli na tej podstawie nie zaczniemy budować, nigdy nic nie zbudujemy.

Czego Bóg od nas obecnie, jako od narodu, wymaga, czego oczekuje? oto pytanie nad wszystkim górujące. I jakżeby nie miało być pierwszym, jeżeli Bóg ma być naszym sprzymierzeńcem — jeżeli my mamy Jego zamiarom służyć! W odpowiedzi na nie szukać powinniśmy podstawy działania w polityce.

Bo, w rzeczy samej, ten kryzys, ten prawdziwy rozkład ducha jest następstwem nie kierowania się Wolą Bożą w sprawie narodu, jakby ta Wola nic z jego celami nie miała wspólnego. Byłby on niemożliwym, gdyby myśl polska była się, jak niegdyś, trzymała przewodnictwa Wiary. Gdyby nie straciła czucia ze sprawą Bożą do której przecie nasza sprawa należy — widziałyby jasno, że między bezrozumnym powstawaniem, a bezecnym poddawaniem się, jest jeszcze cierpliwe czekanie, aż Bóg sługom Swoim nie obmyśli przytułku.

Ale czekanie jest niekiedy za trudnem. Jeśli się nie na Boga czeka, i czeka bez niego; jeśli się nie »znosi, jak mówi Eklezyastyk, wyczekiwań Bożych« — *sustine sustentationes Dei*«, a zatem z wiarą w Boga, z nadzieją w miłosierdzie Jego, z miłością sprawy Jego; to któż znieść potrafi ludzkie »*expecta, reexpecta*«, jak mówili Żydzi drwiąc sobie z groźb Izajasza. Bez ślepej nadziei w Bogu, każdy, poczekawszy, wraca do swoich ludzkich ideałów.

Jeden jest ideał życia, dający oczekującym go moc cierpliwości, i nieustającej, a zniechęceń nie znającej pracy nad jego urzeczywistnieniem. Tym ideałem tak realnym, jest królestwo Boże, już tu, na ziemi. Temu, ideałowi służyli cierpliwie chrześcijanie pierwszych wieków, i doczekali się Konstantyna, który wprowadził to królestwo w świat polityczny. Odtąd postępuje ono tym szlakiem, postępuje z trudem i niejednem cofaniem się — ale postępuje.

Czekajmy i my z Bogiem, i pracujmy nad niem!

II.

Chrześcijanie, jednak, pierwszych wieków mieli co do tego »*sustine*« ułtwienie, którego nie mamy. Oni nie szukali form społecznych i politycznych, ani przewidywali tych, które z Kościoła później wypłynęły, ani sobie mogli inaczej świat przedstawiać, jak pod cezarami; — i tolerowanie ich wiary było jedynym ich pragnieniem w życiu publicznym. Lecz właśnie dla tego że Królestwo Boże się musiało stopniowo rozwijać, postępować lub cofać według tego co ludzie z niem czynią — dla tego dziś nasze czekanie nie może się obyć bez pojęcia jakiegoś o kształtach jego politycznych i społecznych w przyszłości, i chodzi nam nie tylko o tolerowanie prawa i prawdy — lecz i o zabezpieczenie ich stosownemi urządzeniami.

Dlatego też i przy »znoszeniu wyczekiwań Bożych«, jakkolwiekbyśmy chcieli udawać martwych, potrzebujemy jednak — i koniecznie tak być musi skoro nie idzie już o tolerancję lecz o instytucje — potrzebujemy sobie zdać sprawę z naszych ideałów społecznych i politycznych, abyśmy nad ich urzeczywistnieniem mogli pracować; a jeśli tych sobie utworzyć nie możemy, to przynajmniej trzeba nam jakichś punktów wytycznych około którychby się mogła nawiązać utracona moralna pewność.

Socyalistom i rewolucjonistom, albo też i stronnikom myśli, że jakieś powstanie lepiej od innych uorganizowane Polskę nam odda, łatwo sobie stawiać zamki na lodzie, i projektować plany; — trudniej tym, którzy jaśniej i zdrowiej patrząc na rzeczy, widzą, że plany na nic się nie przydadzą. Podczas kiedy tamci albo całkiem opuszczają ideał polski, albo szukają go po dawnemu — i w postaci Państwa niepodległego i silnego — ludzie »pracy organicznej«, budując mrówczą, od dołu, i żmudną pracą rzeczy możliwe, a niemożliwych nie chcąc tykać, i najśluszej; zostawiając przyszłości, i, jeszcze raz, najśluszej, zarys ogólny budowy; według kształtu, mocy, ilości odszukanych i zrestaurowa-

nych kamieni — nie mogli i nie powinni byli opuszczać tego stanowiska. Jest to więc błąd z ich strony kreślić plany »rozwiązania sprawy polskiej« jakgdyby już materiały były gotowe, i czas nie już odmienić nie miał. Nie oparli się jednak tej pokusie, a raczej nie oparł się jej ten około którego grupuje się — skoro się on podaje za jej ojca, a ona temu nie przeczy, tak zwana frakcja Stańczykowska stonnictwa konserwatywnego. W książce swojej o r. 1863 przystępuje on do »rozwiązania« jak mówi, sprawy polskiej, rozwiązania nieco podobnego do rozcięcia gordyjskiego węzła — wprawdzie bez miecza, i bez Aleksandra; ale tłómacząc *per longum et latum*, jakby był ciał Aleksander — gdyby był na jego miejscu.

Prawdą jest, że aby pracować trzeba bodźca, który dać może jasno wytknięty cel, a po ostatniem powstaniu cele i drogi zawieja zasypała. Lecz dość było postawić wytyczne punkty — i dać ludziom kierować się niemi bez pretensyi wyszukiwania miedz i kopców granicznych przed nastaniem wiosny. Tego p. Koźmian czy nie zrozumiał czy raczej nie chciał zrozumieć. »Bo umyśloną mowę kto zatrzymać może«, powiada do Joba Elifas Temanitzcyk na wstępie do rad, za które musiał potem się wstydić. Książkę tę stronnicy autora bardzo chwala — lecz niema jeszcze pewności czy w istocie jej zapatrywania podzielają — wolałbym mózdz powiedzieć: czy je rozumieją wszyscy. Spotkałem bowiem ludzi wytrawnych, którzy w niej widzieli tylko to co widzieć chcieli, a nie spostrzegli właśnie tego co ją odróżnia od zwyczajnych na te rzeczy zapatrywań. Recenzenci, autorowi przyjaźni, patrzą nań przez własne okulary i zapytują gdzie tam mowa o tem co mu się słuszenie zarzuca. W ich ręku staje się ona nawet »najpożyteczniejszą« z książek, czem bezwarunkowo nie jest. Wątpić więc można czy jej zasady prawdziwie są podzielane przez wszystkich politycznych, i niepolitycznych, przyjaciół autora. Lecz bądź co bądź, milczenie prasy konserwatywnej o tem czem książka innych razi niemałym jest dowodem tej nie-

pewności zasad i zamieszania pojęć, które cechują obecną krytyczną dobę rozwoju myśli narodowej. Dla oczyszczenia więc gruntu na którym zamierzamy w niniejszej pracy szukać owych wytycznych punktów przyszłości, — a któremi będą, poznane przez nas, wymagania Boże — koniecznym jest, abyśmy przedewszystkiem uzasadnili zarzuty, już dorywczo gdzieindziej uczynione temu politycznemu systemowi »Rzeczy o r. 1863«¹⁾.

Widocznem jest, że książka, o której mowa, jest zbiorem argumentów dla poparcia z góry powziętej myśli, argumentów zatem, jak zwykle w takich razach, naciąganych i nakręcanych. Myślą zasadniczą jest to, że dla Polski niema już żadnej innej nadziei ratunku jak w dobrej woli mocarstw rozbiorowych. Żeby więc coś uratować, choćby tylko był narodowy, od nich zależny, trzeba się im zupełnie poddać. A więc, trzeba stanąć względem Rosyi, jakeśmy stanęli względem Austrii, wiernie i lojalnie dla dynastyi, przyjmując państwową ideę rosyjską za swoją (!).

Niepodległość bowiem jest dla nas tak radykalną niemożnością, choć razem (!) najszczytniejszym życia celem, że i w przeszłości była ona tylko szczęśliwym przypadkiem, przeciwnym naturze, bo geograficznemu położeniu²⁾ (III, 336, 7, 8). Zachowanie nadziei niepodległości jest dla nas szkodliwszem niż siła moralna, którą ona nam dać może, więc trzeba tę nadzieję do grobu złożyć (338). Zresztą powinno nas to pocieszyć, że trudniej jest być narodem podległym, niż niepodległym, a trudności powinny nęcić umysły szlachetne. (Sztuka dla sztuki, jakby chodziło o artystów!) O potrzebie wyrzeczenia się nadziei niepodległości traktuje cały rozdział XI tomu IIIgo — i niepojętą jest rzeczą jak może »Przegląd Polski« stawić tę książkę jako odpowiedź na pytanie zapisane gdzieś przez J. Szujskiego. »A kto wam

¹⁾ »Demokracja kat. w Polsce« str. 252 i następane.

²⁾ Wielu czyta bez uwagi, i przeczy, aby to i owo było w książce; musimy zatem miejsca przytaczać.

powiedział, że Stańczyki nie chcą niepodległości?« Że Szuj-ski się z tą myślą nie rozstał, to wiemy, ale jak mogą jego myśli odpowiadać następne słowa p. Koźmiana, tego nie rozumiemy. »Wystarczyłoby to, mówi on, aby przekonać, że niebezpieczeństwo wyzucia się z owej użyteczności i mocy (jaką daje nadzieja niepodległości) mniejszem jest niż to, które pociąga za sobą zachowanie takowych... Nie mogąc być państwem, pozostać narodem jest także zadaniem pięknem i wzniosłym. Trudniej jest ocaleć jako naród, niż jako państwo... zaszczyt, kunszt i zasługa (!) są znaczniejszemi, zdolnemi przemówić do wielkich umysłów i wielkich serc (!) i t. d.« Możliwość więcej podobnych miejsc przytoczyć, ale po co? To nie przekona tych, którzy chcą widzieć inaczej.

Wyrzekłszy się tedy niepodległości, uczy nas p. Koźmian dalej, powinniśmy w każdej dzielnicy, szczerze, bez ukrytej myśli, — bo to będzie najlepszym środkiem na nasze anarchiczne usposobienie — porozumieć się z istniejącym porządkiem rzeczy, uznać i wspierać władzę, lojalnie skupić się koło tronu, i szukać u niego opieki swoich przyrodzonych praw. Zaleca uczciwe współdziałanie w interesie państwa, po zespoleniu z takowem praw i potrzeb bytu narodowego. (Zupełnie jak gdyby chodziło o fundację nową, której założyciel, niby Idomeusz w Salencie z Telemaka — może nadać ducha, kierunek i prawa, jakie mu do głowy przyjdą!). »Szkoła, dodaje on, uznała zatem nietylko konieczność, ale i użyteczność kompromisu z rzeczywistością« (356) środkami legalnemi i jawnemi, stopniowo, mierząc ten stopień nietylko interesami własnymi, ale także państwa (357). »Gdzie to nie jest możliwem, tam zalecała szkoła pielegnowanie bytu narodowego wewnątrz samego społeczeństwa, a będąc zasadniczo przeciwną wszelkiej myśli buntu przeciw istniejącemu porządkowi rzeczy, chciała, aby czekano jego końca czy zmiany...« (357). (Czy to nie przypomina przepisów lekarskich dawanych na czas dłuższy?)

»Kompromis idei polskiej z istniejącymi porządkami rzeczy, winien był, w zasadach szkoły, odbywać się na zasadzie poświęcenia się dla bytu narodowego« (358)¹⁾.

Lecz idąc dalej, p. Koźmiału, aby rzeczy dobrze urządzić, przeniósł do Rosyi nasz stosunek z Austryą, i wymaga od nas wierności i lojalności dla dynastji rosyjskiej. I dla ułatwienia nam tego, przedstawił nam myśl i dążenie do niepodległości jako szlachetne, najszczytniejsze... szaleństwo. Szaleństwo, bo i granic naturalnych nie mamy, i nikt się za nami nie ujmie i sami się na wolność nie wybijemy. A w końcu czy to nie piękniej utrzymywać się przy życiu, jak skoczek na linie, walcząc nieustannie ze śmiercią?

Naturalnie, w obec takiego systemu, zespalającego ideę polską z ideami państwowemi trzech w różnym kierunku idących mocarstw, przychodzi każdemu obawa o zachowanie jedności moralnej narodu. Ale i na to jest środek. »Byt narodowy, w myśli szkoły, mówi p. Koźmiał, miał utrzymać jedność narodową, w braku państwowej. Zachowanie i rozwijanie bytu narodowego (już chyba bez idei polskiej) stanowiły nie idealną ale jak najrzeczywistszą jedność narodową. Nie krępowana tym sposobem geograficznymi granicami i różnością istniejących porządków, jedność narodowa polska, pozostawała istotną i nie do zwalczania«. Wygląda to na drwiny! — A jako przykład takiego zachowania jedności bytu narodowego; podani są nam dzisiejsi Żydzi w rozproszeniu (!) (358).

Kto to wszystko potrafi zrozumieć? Gdyby uczciwi ludzie i prawi Polacy z »Przeglądu Polskiego« nie brali

¹⁾ »Kompromis idei polskiej.« W kompromisie tym, jakie idea polska ma zrobić ustępstwo »istniejącym porządkom« — jeżeli nie wyrzeczenie się niepodległości narodu? — Wszelkie inne musi inkludować wywrócenie tych porządków. Nie wiemy, czyby to Szujski przyjął za dowód, że się Stańczyki nie wyrzekają niepodległości. I nie pojmujemy, co zostanie po tem wyrzeczeniu się, coby można nazwać »ideą polską«. Może nam to »Przegląd« wytłómaczy. Przecież zachowanie bytu narodowego nie jest ideą specyficzną polską.

tej całej mistyfikacji w obronę — doprawdy niktby na nią nie zwracał uwagi. Ale podpis »Przeglądu« na tym wekslu, każe nam podnieść go do światła, i szukać nie ukrytych już liter, ale poprostu zdrowego sensu. Bo nie jest że to *petitio principii* mówić, że jedność bytu narodowego zachowa się tem samem, że to będzie »jeden i ten sam byt narodowy« i że »tym sposobem« on będzie właśnie »nie do zwalczania«.

Jakim więc sposobem? Oto jeżeli Polacy dojdą do tego, że będą w Rosyi i Prusach, powiedzą to, co niedawno powiedział w Reichstracie i słusznie powiedział prezes Koła Polskiego, żeśmy »ściśle zespoleni z ideą państwową austryacką«. Więc wtedy dopiero jedność narodu będzie na skale opartą, kiedy zespolimy się z ideą państwową Prus i Rosyi. A zatem powie każdy: te trzy państwa muszą mieć jedną ideę państwową, która się doskonale zgadza z ideą polską, Bynajmniej. Jedno z nich ma apetyt na drugie. Chyba, że w jedności z ideą austryacką damy się zjeść idei rosyjskiej i wtedy to będzie nasz byt »niezwalczony«. Żydzi, jako przykład przytoczeni, tem właśnie zachowują swoją jedność (nie narodową, bo to jest tylko szczepowa sekta, nie naród), że nigdzie się nie zespalają z ideą państwową. Trudne są zaprawdę subtelności scholastyków, ale w porównaniu z temi tezami p. Koźmiana — to żarty.

Prosty rozum mówi, że taki system rozbije wszelką jedność bytu narodowego — jeżeli do esencji tego bytu należy to, co stanowi istotę każdego społeczeństwa. Tą istotą, uczy nas filozofia socyalna, jest jedność władzy i jedność dążenia społeczeństwa z władzą wspólna — i dlategośmy mówili w »Demokracji kat. w Polsce«, że trzeba nam cofnąć się bardziej wewnątrz siebie i stanąć na gruncie kościelnym, bo tam znajdziemy gotową i własną jedność władzy i jedność dążenia. Ale jakim sposobem mamy znaleźć jedność bytu społecznego, skupiając się przy trzech tronach, o trzech różnych i nieraz walczących z sobą dą-

żeniach, to albo jest misterium niedorzeczności, albo po prostu gadanina.

III.

Jakże tedy mamy sobie przedstawić taki byt narodowy wspólny Polakom należącym do trzech rozbiorowych mocarstw, a nie oparty na jedności władzy, myśli, i dążenia? I czy jest w istocie przesadą powiedzieć, jakeśmy to uczynili, że on będzie próżnią i próżnością? Bo przecie nie można mieć za dążenie samą chęć utrzymania się przy życiu. Znana jest odpowiedź Sieyes'a, zapytanego, czem on i inni z nim byli zajęci podczas teroryzmu rewolucyjnego. »Żyliśmy«, odrzekł. I w istocie zadanie to nie było łatwym. Ale p. Koźmian nie mówi nam, że będziemy żyli pod gilotyną — owszem, obiecuje nam uszczęśliwienie wszystkich naraz dzielnic Polski. Więc samo utrzymanie bytu, któremu nic nie będzie zagrażać, nie wystarczy narodowi jako jedyny cel życia. Szukanie niepodległości, tego wyższego stopnia bytu jest usunięte i nie należy o niem myśleć. Nawet cel doskonalenia się społecznie, konieczny w każdym społeczeństwie chrześcijańskim, staje się niemożliwym bez jedności prawodawstwa, władzy i bez dążenia do niepodległości wszystkich tych, co są zjednoczeni językiem, wiarą, cywilizacją, boć niepodległość jest ochroną doskonałości wewnętrznej i jej szczytem. Nie widzę więc żadnego zajęcia publicznego w społeczeństwie tak urządzonem. Pozostaje życie towarzyskie toczące się około dworu i urzędów dworskich, klubów, teatru, wyścigów, baletu, ze szczyptą zabagnionej literatury, bo i ta wymaga, dla rozwoju, życia publicznego. Wszystko to widziało się w Warszawie za czasów Mikołajewskich. W takich warunkach wspólna jedność nasza pod trzema rządami nie będzie nawet taką, jaką jest moralna jedność Francuzów szwajcarskich, belgijskich lub włoskich z Francją niepodległą, bo Polski obok nas niepodległej nie będzie. Będzie to jedność taka, jaką jest je-

ność Celtów Bretanii z Celtami w Walii mieszkającymi, jedność karmiona bajecznymi wspomnieniami króla Artura i jego dwunastu paladynów!

I nie może być inaczej, cokolwiek bądź »Przeгляд Polski« ma przeciw temu. Pyta on, gdzie widać, aby p. Koźmian w ten sposób przedstawiał sobie byt narodowy Polaków, jak tu powiedzieliśmy? Mniejsza o to, co on sobie przedstawia, i myśmy nigdzie nie przewidzieli, że to są jego ideały. Powiedzieliśmy tylko, że to wynika z wymyślnego przezeń sposobu uszczęśliwienia Polaków, niesłusznie Stańczykom przyczepionego, bo być nie może, aby, przy zakładaniu stronnictwa, inni jego członkowie te plany mieli na myśli ¹⁾).

Nie wiemy, jak sobie p. Koźmian przedstawia istotę narodu i życie narodowe w ogóle. Ale co do narodu polskiego, nie zakreśla mu on ani wysokich, ani nawet praktycznych ideałów. Ma to być Polska etnograficznie pojęta. Najprzód wyśmiał on tradycję granic historycznych Polski, t. j. tego jej kształtu, który w ogólnym zarysie wzięty, odpowiada naszym zadaniom dziejowym, idei narodowej — tego kształtu, który jeśli może w przyszłości być punktem wyjścia do ustępstw, to nigdy do takich, któreby zniszczyły tę ideę. Potem wyciągnął, niewiadomo skąd, wyrocznie, że to »co się rozpadło lub rozszarpanem zostało, w dawnych rozmiarach tylko sklejonem być może: zrosnąć się, powstać i istnieć może jedynie w nowych rozmiarach i kształtach«. Z następujących zaś słów widać jasno, że zgodnie z ideałami rewolucyjnymi, nie ma dlań narodu polskiego poza etnograficznymi granicami. I jakżeby miało być inaczej, kiedy chodzi o kompromis z Rosją i Niemcami. »Dla Polaków, pisze on, — zawsze w stylu wyroczni, — pozostać narodem jest nietylko obowiązkiem, ale koniecz-

¹⁾ Środek jedyny zaradzenia w przyszłości temu, aby jedna dzielnica Polska lepszym cieszyła się losem, jak dotąd bywało. Odtąd, jeśli usłuchają rady p. K., będą wszyscy Polacy szczęśliwi.

nością«. Względem kogo o b o w i ą z k i e m , pytamy, jeżeli ten naród nie ma celu swego istnienia po za sobą? I dlaczego koniecznością? Oto poprostu dlatego, że nie mogą materialnie wyginąć. »Niepodobna przypuścić, aby kilkanaście milionów Polaków wyginęło i znikło z powierzchni ziemi. Przymusem jest zatem dla nich pozostać narodem«. Przytaczając ten ustęp, zwracam uwagę czytelnika na tę logikę w szlafroku, nad której głębokością unoszą się nasze polityczne umysły. Kilkanaście milionów ludzi nie może wyginąć, więc muszą być narodem. Więc to samo jużby wystarczyło, aby nim byli? Jak gdyby nie mogli być plemieniem, jak gdydy można być narodem bez myśli przewodniej, bez celu dla wspólnego działania, bez niepodległości i bez dążenia do niej! A jeżeli to, że się jest liczbą, wystarcza aby być narodem, to jakież znaczenie może mieć całe owo usiłowanie zrobienia z bytu narodowego ostatniego celu pracy narodu? Po co tu ta praca, okupiona wyrzeczeniem się ducha, jeżeli samo istnienie liczby zmusza do tego, aby być narodem. Rusinów jest także kilkanaście milionów, a nie widzimy do czego to ich zmusza. A potem jaka mieszanina rewolucyjnych zdań z ultrakonserwatywnymi.

Oczywiście, naród Polski kilkunastomilionowy, to właśnie ten, o którym ku wielkiemu zgorzeniu »Przeglądu« pisałem, że byt jego łatwo odpowie rosyjskim nań planom; i właśnie świeży programowy artykuł »Dniwnika Warsz.« to potwierdza. I musi tak być, skoro tylko za zezwoleniem Rosyi on ma istnieć. A wtedy, jeśli to nie będzie naród pozbawiony szlachty, czy wyższych klas nakształt Serbów i Bułgarów, więc bez żadnej myśli politycznej, bo do tego prowadzi byt narodowy na etnografii oparty, to wyższe klasy nie mogą mieć w nim innego życia publicznego, jak dwór cesarski i zabawa. Powiedziałem to samo w »Demokracji katolickiej«, zbyt treściwie wyznaję, abym był przez wszystkich zrozumianym. Czy będę teraz szczęśliwszym?

»Kompromis z rzeczywistością«, zdawałoby się, że



znaczy ugodę. Zaprzeczono jednak aby tak było. Mniejsza o to, choć i o ugodzie jest w książce tej mowa. Mniejsza, bo w każdym razie, jeśli ten system polityczny nie wymaga koniecznie ugody z wrogami, którzy jej nie chcą, to wymaga jej z dotychczasowemi wierzeniami politycznemi, z dążeniami narodowemi, z sumieniem publicznem.

Otóż wyznajemy, jeszczebyśmy woleli układy z wrogiem, niż licytowanie się samych ze sobą, aby dojść do takiego stanu umysłów, do takich przekonań, i takiego ducha publicznego, który mógłby się złąć ze stanem umysłów, z przekonaniami, i duchem publicznym Rosyi. A skoro jest faktem, że tego ducha publicznego istotą jest niszczenie żywiołów groźnych dla idei państwa jednolitego, a więc przede wszystkim żywiołu Polskiego, pytamy, jak mamy dla ocalenia bytu narodowego, boć to jest celem całej tej roboty, złąć się z tymi, co założyli sobie za warunek własnego życia zniszczenie naszego bytu? Lecz bądźmy sprawiedliwi. Chodzi p. Koźmianowi o to, żeby przeczekać ten rosyjski ferwor. Jest to bowiem w »Szkole« przyjętym pewnikiem, że w Rosyi wszystko zależy od cara, a ten może, kiedy zechce, zmienić cały system. Tymczasem zaś, »Szkola« radzi trzymać się czego innego, mianowicie przykładów życia obywatelskiego, Andrzeja Zamoyskiego. A że to »tymczasem« w rzeczywistości potrwa, więc system oparty na rzeczywistości okazuje się być, równie dobrze, jak inne, opartym na jakiejś nadziei, nie już pomocy francuzkiej, lecz tolerancyi i ludzkości rosyjskiej. Czyż warto było tak nam zapowiadać drogi nowe, realne, matematycznie pewne, i nic nam innego nie powiedzieć, jak to, że mamy czekać na łaski cara — ażali mu nie przyjdzie na myśl ich udzielić.

Słowem, byt narodowy polski, któryby był następstwem tej polityki »kompromisu z rzeczywistością« — za pomocą ustępstw z naszego ducha, z naszej tradycyi, zatem z naszego sumienia publicznego, byłby nie życiem, ale w e g e t o w a n i e m, jakiegokolwiekby były błyskotki i mamiła ku pocieszeniu nas, dodane. Byłby to, nie byt naro-

rodowy, lecz upadek społeczny wśród obalamucania się zabawą i próżnościami. Nie wątpię, że ci, którzy to wymyślają, i którzy tego bronią, są w najlepszej wierze — ale byłoby lepiej, gdyby to nie było wymyślane, a jeszcze lepiej, gdyby nie było bronione i to kosztem narodu, można powiedzieć: bo naród traci na tem, kiedy się coś naraża, co pracą i zasługą stało się już jego dobrym nabytkiem. *Sapienti sat.*

Bądź co bądź, ponieważ idzie nam o szukanie woli Bożej — nie możemy jej widzieć tam, gdzie społeczeństwu katolickiemu zagraża moralny upadek.

IV.

Lecz tak zwane »rozwiązanie« sprawy polskiej, przez p. Koźmiana proponowane, nie ogranicza się w skutkach swoich na zabagnieniu bytu narodowego, ścieśnionego granicami Warty i Wisły, Tatrów i Noteci i na troje rozczepionego. Idzie ono dalej jeszcze, bo do stopniowego, lecz pewnego, wynarodowienia nas przez prawosławie.

Że autor tego nie zamierza, nie wątpimy ani na chwilę. Ale czyż nie może coś być konsekwencyą premisów, choć stawiający premisy tego się nie domyśla? Można przecie powiedzieć komuś wchodzącemu na złą drogę: idź, jeżeli chcesz się zgubić: któż logicznie stąd wniesie, że mu się przypisuje chęć zguby własnej?

Jeżeli jednak słuszność jest przy nas, lub tylko jeżeli się nam tak wydaje, — to czyż nie jest naszym obowiązkiem starać się wykazać prawdę, nie dla punktu honoru, lecz dla ostrzeżenia?

Aby więc te rzeczy rozjaśnić, trzeba nam trzy punkty rozebrać. Najprzód tedy chcemy dowieść, że żadne ustępowanie nie powstrzyma Rosyi w kierunku szukania jedności Państwa w prawosławiu. Powtóre, że to, cobyśmy z naszej strony mogli, w razie kompromisu, przeciwstawić temu ru-

chowi, byłoby niewystarczającym. Po trzecie, że polityka kompromisu osłabiłaby tę już i tak słabą obronę. Gdy zaś to będzie ustalonym, to tem samem się dowiedzie, że ta polityka dla katolicyzmu zgubna, byłaby z drugiej strony przeciwną Woli Bożej, a więc prawdziwie można rzec, że byłaby faktycznym zaprzędaniem Kościoła — za korzyści niby narodowe«.

Cały błąd tej polityki spoczywa na dwóch danych. Jedną z nich jest teoria otrzymania Polski z czyjejs łaski za służbę. Fałszywa ona równie, jak teoria odbudowania Ojczyzny przez powstanie, własną siłą — ale mniej godna. Posługiwaliśmy się nią za Napoleona i za Aleksandra I-go, i wkrada się ona jeszcze do stosunku naszego z Austryą; choć tu niepotrzebna, bo wystarcza wspólny interes. Na nią liczymy jeszcze wobec Rosyi pomimo rozczarowań. Teoria błędna, która nic nigdy nie wyda, bo żaden wogóle monarcha nie da się, że tak powiem, wyłechtąć ze swego stanu posiadania.

Drugą fałszywą daną tej polityki względem Rosyi, jest mniemanie, że carowie mogą zrobić, co zechcą. Tak nie jest.

Carowie od Aleksandra II-go począwszy, są jeszcze, w teorii, samowładni — w praktyce, muszą coraz więcej zważać na dążenia publicznego ducha, którego są twórcami i którego ten ostatni cesarz wypuścił z klatki. Duch ten, podejmując rękawicę przez nas rzuconą, znalazł najodpowiedniejszą dla siebie formę w antagonizmie z ideą polską na polu polityki słowiańskiej, i zaczął dążyć stanowczo do zniszczenia, w nas, jedyne go żywiołu narodowego i religijnego, stojącego na przeszkodzie do złączenia Słowian pod berłem Rosyi. Cześć siły i wielkości leży naturalnie na dnie duszy rosyjskiej, choćby dla tego, że religia jego prowadzi logicznie do widzenia wielkości Boga i Cerkwi w wielkości Rosyi. Więc ideał jedności wszechruskiej, a potem jedności wszechsłowiańskiej, nabierał tam samowiedzy i siły w miarę upadania Rzeczypospolitej, a obecnie, po

upadku ostatniego naszego powstania, stanął, — wraz z programem zniszczenia nas, jako przeszkody, — na szczycie tej idei państwowej rosyjskiej, z którą chciano by nas lojalnością skojarzyć.

Od takiej Rosyi wyczekiwać zmiany kierunku jest, nie mądrością polityczną, lecz dzieciństwem.

Utrzymuje p. Koźmian, że skutkiem powstania, sprawa polska przestała być sprawą europejską. Jest to ustępstwo Rosyanom przezeń zrobione, jak wiele innych, dla potrzeb tezy. Nie robiłbym go z taką łatwością, zwłaszcza, że jest ono tylko w połowie prawdziwem. Że państwa europejskie czemś się chwilowo nie zajmują, to nie sprawia jeszcze, aby rzecz przestała być tem, czem jest z natury. Tak sprawa Rzymska nie stała się wewnętrzną sprawą włoską — choć milczą o niej wszystkie gabinety. Również i sprawa polska nie może przestać być pierwszej wagi dla świata cywilizowanego. Jest jednak pewien wzgląd, pod którym można powiedzieć, że nie przestając być światową sprawą, jest ona przedewszystkiem sprawą ruską, rosyjską i słowiańską. Pod pewnym względem, spór ten jest istotnie domowym sporem, jak go Puszkina nazywał.

Przez Unię bowiem z Litwą, Polska weszła niewątpliwie w świat inny, w świat ruski. Żle się stało, nie że weszła, lecz, że nie dość weszła, że nie dość zespoliła się z Rusią. Nie tyle w tem winy przeszłości, ile błędu, a błędu wspólnego i Polakom i Rusinom. Jedni zanadto ku sobie, ogłada, oświata i instytucjami przyciągali, drudzy zanadto dawali się pociągać. Ale nie mogło być inaczej; i gdybyśmy byli na miejscu ówczesnych ludzi, zrobilibyśmy to samo. Dziś dopiero możemy to poznać, i ledwie, ledwie do tego przychodzimy.

Dla czego był to błąd? Jak się pewien rosyjski historyk wyraził, Litwa i Moskwa były dwoma ogniskami gromadzącemi zdruzgotaną i rozsypaną Ruś. Tu jedna, tam druga, odbywała się praca unifikacyjna. Otóż ognisko zachodnie, Litwa, zlało się z Królestwem Polskiem, i odtąd

Litwa i Moskwa, do dawnych przyczyn antagonizmu, terytorjalnych, dodały powody daleko wyższe: religijne i cywilizacyjne. Unia z Polską uratowała od zagłady ognisko rusko-litewskie, ale wprowadzając weń żywioł polski, duch katolicki, formy społeczne i oświatę zachodnią. Odtąd Polska z Litwą stała się, w konkurencyi z Moskwą, »sobiratem Rusi«, t. j. punktem jednoczenia się Rusi. Nie wierzylibyśmy w kierownictwo dziejów przez Boga, gdybyśmy tu nie widzieli ręki Jego naznaczającej Polsce po uratowaniu przez nią Słowiańszczyzny od zniemczenia, zadanie jej nowe, ostateczne, wewnątrz tejże Słowiańszczyzny — mianowicie, zadanie zgromadzenia całego ruskiego świata, całej potem Słowiańszczyzny, przykładem, przewodem, nie podbojem, pod znakami katolickiego Kościoła. Przodkowie nasi nie rozumieli tego, a urzędzenia nasze, o ile były ponętą dla Słowian, o tyle przeszkadzały działaniu rozumnemu, wytrwałemu i silnemu. Bo trzeba było siły, i niemałej, by to moralne skupienie się Rusi i Słowian zabezpieczyć od zawiści wschodniego »sobiratiela«.

Lecz i Moskwa, choć konsekwentniej od nas występowała, — bo kierująca się duchem zaboru i jedynowładztwa, — nie zrozumiała także tego charakteru religijnego, dzielącego ją od nas, antagonizmu. Zabory jej robiły się pod hasłem państwowem, a religia, od początku, była tam narzędziem podboju i panowania. Więc dopiero później, po dokonanych zaborach Rusi katolickiej, Litwy i Polski, kiedy zaczęło iść o zjednoczenie ich z Moskwą w jednym duchu, za Katarzyny, ale szczególnie za Mikołaja, zaczęła Rosya, już zeuropejszczona wiekiem XVIII-tym, poszukiwać duchowego swego centrum, i moralnych tytułów do prawowitości nad zaborami. I wtedy musiała się cofnąć aż do dawniejszych pretensyi wszechruskiego prawosławia, którego interes, w jej oczach, łączył się doskonale z interesem Słowiańszczyzny wschodniej, i stawał się drogą do jej zdobycia.

Tak, w jej oczach. Ale — i tu się spotykamy z danymi, mogącemi rzucić światło na zamiary Boże — czy

w tym całym szeregu wypadków tak nadzwyczajnych i tak tragicznych, jakich może nie było w dziejach od zawarcia epoki pogańskiej, Bóg nie miał czego innego na celu, jak zjednoczenie Słowiańszczyzny w rękę prawosławnego cara? O tem wolno wątpić.

Kto wie, czy, przeciwnie, Bóg nie dopuścił, żeby się stały zbrodnie, które na Polsce popełniono, aby inną drogą dojść, zawsze przez nas, do przeznaczonych nam celów? Kto wie, czy, gdyśmy od dwóch wieków stracili siłę zębrodkowującą Ruś schyzmatycką pod chorągwią wolności religijnej, Bóg nie umyślił użyć nas jako czynnika moralnego w tym samym kierunku? Gdyśmy nie słuchali przestroóg i błagania królów naszych i mężów stanu, kto wie, czy Bóg nas nie podał w ręce innym pedagogom, aby w nas wyrobili tę siłę moralną, której nam brakło, w szkole prześladowania, zubożenia, pobańbienia — póki nie zrozumiemy Jego Woli?

Tej Woli więc szukać trzeba, przez przeszłość, w terażniejszości.

W przeszłości było to Wolą Bożą, niewątpliwie, abyśmy, Polacy, Litwini i Rusini, będąc jednym katolickim społeczeństwem, doszli do wysokiego wyrazu chrześcijańskiej doskonałości społecznej — a będąc Państwem, posługiwali się jego siłą, aby, do tejże doskonałości, wolna i otwarta była droga całemu Wschodowi.

W terażniejszości zaś jest Wolą Boga niewątpliwą, abyśmy, pokutę czyniąc, złe naprawili przez zjednoczenie się wewnętrzne i zespolenie w Kościele, — tak wzorowe, iżbyśmy innym Słowianom przykładem naszym wskazali drogę do doskonałości społecznej. Bo czy prędzej, czy później, oni się spostrzegą, że są na bezdrożach i przykładem naszym będą nawróceni. To są pierwsze tylko punkty wytyczne, ale niewątpliwe.

Ale my teraz dopiero zaczynamy to wszystko rozumieć. Dopiero teraz przychodzimy do pojęcia zadań naszych i obowiązków. A co je nam pojąć daje? Oto stanowisko

coraz wyraźniej katolicyzmowi wrogie, zajęte przez społeczeństwo rosyjskie. Dopiero nieprzyjaciel, prześladowaniem, uczy nas, czem być mamy, zmuszając nas do zajęcia stanowiska, które nam Bóg widocznie przeznaczył, a od któregośmy odstąpili.

Niezgodne jest zatem z istotą naszego stosunku do Rosyi mówić, jak czyni »Leliwa«, dla otrzymania pokoju nieodpowiedniego warunkom naszego bytu, że antagonizmu w przeszłości nie było, więc dzisiaj istniejący jest tylko chwilowem zamąceniem stosunków, które zniknie jak przeszło. Najprzód, był antagonizm, i więcej nawet zrozumiany i zaznaczony w przedpiotrowej Moskwie, niż w ówczesnej Polsce. Jeżeli osłabł w XVIII-tym wieku, to skutkiem pałacowej anarchii petersburskiej, skutkiem naszej bierności, i nareszcie kierunku ateistycznego i obłudnego, danego caratowi przez Piotra i Katarzynę. Lecz po rozbiorach, i dla podbudowania pod nimi jakiegokolwiek podstawy duchowej, na gruncie ateizmu i obłudy, wyrósł znowu duch prawosławia bizantyjskiego. I oto jak przyszło do utworzenia uni-katu, jakim jest obecna Rosya.

Unikatem jest bowiem to odtworzenie na wzór bizantyjski, przy chrześcijańskich słowach, formach i obrzędach, prawdziwego cezaryzmu pogańskiego; tego cezaryzmu, w którym religia, pieczęcią cezara opatrzona, pobudza do fanatycznego prozelityzmu takich, co w nią nie wierzą, lecz, w imieniu cezara, czczą w niej arcanum Państwa; i nie mogą zrozumieć, żeby jakikolwiek poddany cezara jej nie wyznawał. Że zaś to pojęcie religii jest radykalnie przeciwnem pojęciu chrześcijańskiemu, więc między państwem takim a Kościołem powstaje stąd antagonizm, który zdaleką wy-wyduje się mniej koniecznym, niż jest w rzeczywistości. Trudno myśli nie wpaść tu na utarte, lecz gwałtem nasuwające się porównanie z babilońskim Baltazarem, który ujrzał znaki grożące karą, gdy do rozpustnej uczt użył naczyni Bogu poświęconych. Carat tak używa religii, i jego też ściany rysują się, pomimo, że ucztą wszystkim głowy

zawraca i zaślepia zarówno tych, co w niej udział biorą, jak tych, co im zdaleka zazdroszczą.

Kierunek zatem — nie antychrześcijański, lecz antykato-
licki, antykościelny, — nie wczorajszym jest wynalazkiem
w Rosyi. Iwan III. i Groźny, Aleksy i Piotr, choć w nic
nie wierzył, Katarzyna, która żartowała z Boga, ale wsku-
tek zetknięcia swego rządu z Unią, zaczęła nadawać pań-
stwu, coraz wyraźniej, zapomnianą nieco cechę cesarstwa
prawosławnego, — wszyscy tej idei mniej lub więcej hołdo-
wali. Nawet Aleksander pomimo swoich rzekomych zamię-
arów względem Polaków, nigdy nie spuścił ręki z kościoła
Unickiego; uważał go za odstępstwo od religii carskiej.
Mikołaj wystąpił w jawnym z nim boju. Lecz dopiero po
roku 63-cim kierunek ten za Mikołaja w szkołach szerzony,
lecz w życiu społeczeństwa jeszcze martwy, stał się duchem
publicznym, esencją patriotyzmu rosyjskiego — formą sa-
mowiedzy społecznej narodu. Panowanie Aleksandra III-go
było przypieczętowaniem złączenia caratu z narodem w tym
duchu; naród wcielił się w carat, zajął w nim swoje miej-
sce, i związał go ze sobą. Ta siła, wywołana przez nasze
powstanie — to coś, co dokształca, w naszych oczach, du-
chowu rosyjski naród, — to korona Iwanów i Aleksych, osia-
dająca na jego skroni. Carowie już nie są i nie będą tem,
czem byli. Duch publiczny jest współ-carem: car osobistym
jego tylko wyrazem. A wobec tego ducha katolicyzm głów-
ną jest przeszkodą do bezpieczeństwa tej Rosyi, której
wielkość zawisła od zjednoczenia w religii państwowej, od
złania w jedno ducha z ciałem, języka i tradycyi mo-
skiewskiej, z całą różnorodnością żywiołów etnograficznych
Państwa. Marzyć o cofnięciu takiego rodzaju siły, jest to
to samo, co czekać, aby wodospad wrócił do miejsca i stanu
w jakich był, gdy się w górze kręcił sam na sobie, nim
runął w przepaść.

Bo pod tym wodospadem — przepaść. Tylko w Ko-
ściele katolickim, zwłaszcza w dzisiejszej dobie, jest zbawie-
nie dla społeczeństw. — A tymczasem, skutkiem nabycia

Polski, i walki na zabój z katolicyzmem, spotęgowała się tylko pycha schyzmatycka, i zwróciła się całą siłą społeczną przeciw Kościołowi katolickiemu. O. Tondini Barnabita, taki gorący stronnik Rosyi, który życie swe poświęcił sprawie jej nawrócenia, w mowie wygłoszonej w r. 1894 na kongresie w Reims, opuścił ręce po zdaniu sobie sprawy z tego antagonizmu, i nie widzi nań środka, chyba w miłosierdziu Bożem, otrzymanem przez modlitwę.

Tylko w Kościele jest życie, łączące wolność z porządkiem. A Rosya zaborem Polski, i wściekłem jej deptaniem, skazała się na przyszłe konwulsye między potwornym porządkiem siły w caryzmie, a potworną wolnością nihilizmu. Z tych kleszczy ona nie wyjdzie.

V.

Jeżeli na Zachodzie Rosyi nie rozumieją, i nie chcą rozumieć, jeżeli nie rozumieją jej duchowni katolicycy, którym się zdaje, że jej nawrócenie nie jest trudniejszym od nawrócenia protestantów, — to my, Polacy, przynajmniej, nie wpadajmy w te złudzenia. Zespolenie Rosyi ze sprawą wschodniej schyzmy, które doszło dziś do szczytu, ma podstawy w esencji tego państwa, a teraz nawet powiedzieć można, tego narodu, tak on żył się z zasadami, na których oparło się Państwo. I dlatego to Aleksander III, który pierwszy w całej pełni zaczął te zasady do polityki stosować, był tak w Rosyi popularnym i uważanym za uosobioną prawdę, jak się o nim publicznie wyraził Hurko. Faktem jest, że dzięki powstaniu r. 63-go Rosya znalazła swoją formułę życiową — ale i to faktem, żeśmy i my naszą dzięki jej nienawiści znaleźli — nie uronimy jej odtąd.

Rosya nie jest czem innym jak upaństwowionym Kościołem t. j. Kościołem o postaci chrześcijańskiej, uzbrojonym w broń Państwa, więc w siłę materyjalną i politycę. Nie jest to teokracya, bo w tej Bóg rządzi ludźmi w spra-

wach ziemskich, ale jest to Rząd świecki który dla swoich ziemskich spraw ma siłę religii na zawołanie: rząd w którym oba miecze są w jednym ludzkim ręku, gdzie *brachium seculare* przyodziane jest rękawem *brachii spiritualis*, i nawzajem. Jest to, powtarzam unikatem *sui generis*, od czasu jak Chrystus kazał oddać cesarzowi co cesarskiego, a co Boskiego Bogu. Jest to bowiem cezaryzm zupełnie jak pogański, w którym cesarz jest *pontifex maximus*.

Lecz zachodzi ta różnica między cezaryzmem a caryzmem, że ten ostatni trzyma, w swojej Kapitołińskiej świątyni, uwięzionego Boga żywego pod Sakramentalnemi postaciami ukrytego. Bo w jego ręku jest kapłaństwo prawdziwe, które na jego rozkaz, niezmiennego Bożego postanowienia ku temu używając przez konsekrację, sprowadza na ołtarze Syna Bożego, i nie będąc rządzonem przez Ducha Św., oddaje go w służbę Państwu — bo tam Państwo jest Kościołem. Tam P. Jezus w Sakramencie jest rzeczą rządu, który jej przedewszystkiem daje za cel, aby wraz z policją i duchowieństwem utrzymywała byt Państwa. On jest, po prostu, w jassyr wzięty i służy carom, jak Samson służył Filistynom. Herod, gdy trzymał Jana Chrzciciela w więzieniu, by mógł łatwiej używać jego nauk, lub gdy później dla ciekawości żądał cudu od Pana Jezusa, ani marzył o takiej kombinacji, w którejby mógł wprzódz Boga-Człowieka w swój państwowy kierat. To też Bismark, który jeden może z ludzi zachodnich, zrozumiał to, zazdrościł tego carowi. Między nami też są tacy państwowcy, żałujący, że Polska nie przyjęła wiary z Bizancyum, bo myślą, że byliśmy, jak Moskwa, przez to silni. Mylą się jednak, bo na tę siłę Moskwy kilka rzeczy się składało, których nie mamy powodu zazdrościć.

Gdyby to co wyżej stoi miało przypadkiem być czytaniem przez nierządowych Rosyan, niech będą pewni, że ani nienawiść ani pogarda tych słów nie natchnęły, tylko prawdziwy ból nad Zbawicielem uwięzionym, i prawdziwy żal tylu biednych, oślepiionych dusz — a także chęć przed-

stawienia czytelnikom samej istoty rzeczy, kryjącej się poza pozorami.

Otóż trzeba koniecznie, aby choć Polacy, jedni na świecie, znali Moskwę; aby rozumieli że prawosławie w dzisiejszej Rosyi to samo znaczy co pruska *Staatsangehörigkeit*; i że car musi mieć za obcych sobie wyznawców »obcych wyznań« inaczej nie byłby »swoim« w oczach swego ludu, straciłby sakrę koronacyjną; inaczej rozwiązałby się jego węzeł z ludem prawosławnym. Trzeba żeby choć Polacy rozumieli, że dla cara, postawić katolicyzm na równi z prawosławiem byłoby mu równie niepodobnem, jak Papieżowi pozwolić na odprawianie schyzmatycznego nabożeństwa u św. Piotra. Tylko że gdy u nas równouprawnienie wyznań osłabia w ludzie wiarę w kościół katolicki, tam, równouprawnieniem, osłabiłoby się w prawosławnym wiarę w Państwo i w Cara.

Wykazaliśmy już poprzednio jaką rok 1863 oddał przysługę instytucji carsko-prawosławnej rozbudzając w narodzie rosyjskim ten fanatyczny duch, nienawistnego wszystkiemu co zachodnie, patryotyzmu religijno-państwowego, którego panowanie Aleksandra IIIgo było najwyższym wyrazem, »wyrazem prawdy« jak tam mówią. — Trzeba jednak zrobić wielkiej wagi rozróżnienie między instytucją carsko-cerkiewną, a społeczeństwem będącem jej pastwą; — i w tem społeczeństwie, jeszcze, trzeba odróżnić część związaną interesem a przeto i duchem z tą instytucją, od drugiej części liczniejszej i ważniejszej dla przyszłości, wlokącej się za tamtą nie bez trudu i moralnego cierpienia. To ostatnie rozróżnienie podobne jest do tego, które we Francyi niegdyś robiono między *pays légal*, niby krajem urzędowym, a *pays réel* — czyli krajem rzeczywistym.

Otóż w ogóle mówiąc, równouprawnienie wyznań leży w interesie społeczeństwa rosyjskiego. Bez niego nie może ono wydostać się, a wydostać się chce, z oscyllacji między blichtrową cywilizacją Piotra a barbarzyństwem poprzednich carów. Bez niego nie może się przed Rosyą

roztoczyć pole wolności i ładu moralnego — a musi ona przerzucać się od knuta do knuta, od Iwanowego do Piotrowego, od knuta bez rękawiczek do knuta w rękawiczkach.

Tymczasem system rządzący nie może dać tego równouprawnienia bez abdykacyi z siebie samego. A jednak dać go będzie musiał kiedyś, to nieuniknione, — tylko koncessya dana wiernym domagającym się sprawiedliwości inny będzie miała charakter niż ustępstwo zrobione bezbożnemu indyferentyzmowi. Koniec końców to co stanowi moc Rosyi dzisiejszej, t. j. siła państwowa, działająca w imieniu jedności religijnej, jest zarazem groźbą przyszłości.

W takim składzie rzeczy co może znaczyć hasło »skupiania się koło tronu i przyjęcia rosyjskiej idei państwowej«, kiedy ta idea, ten pierwiastek rosyjskiego Państwa, jest wręcz przeciwny pierwiastkowi społecznemu zachodnio-katolickiemu, z któregośmy wyrosli, i który jest nieodzownym warunkiem życia społeczności chrześcijańskiej? Znaczy ono tyle co zażywać śmierć, aby utrzymać życie.

Czy to jest mądrą gospodarką wyczerpywać siłę ziemi bez względu na lata następne? I czy to mądrą polityką zaprzepaszczając przyszłość dla korzyści dzisiejszej?

I wreszcie jeżeli za Aleksandra Igo można było się ludzić, to jak nie widzieć, że dziś, gdy państwowość rosyjska doszła do zenitu, moglibyśmy może otrzymać jakieś nieznaczące koncessye, nigdy zaś wolności religijnej. A gdybyśmy, przypuścmy, wchodzili jeszcze w układy z Rosyą, to, na tym punkcie, albowy nam tłómaczono, że żądamy supremacyi katolicyzmu, albowy nam narzucono milczenie, jak Stolicy Stej, której przy rokowaniach, nie wolno i wspominać o Unii.

A wtedy, koniecznie, nastąpiłoby wewnętrzne poddanie się tym nieuniknionym stosunkom religijnym, które wypływają z zetknięcia się z prawosławiem poddanych katolickich prawosławnego monarchy; stosunkom które zna-

my wszyscy aż nadto dobrze. Tylko wtedy, to co w nich dziś nas boli, zaczęłoby być wewnątrznie przyjmowanem przez wszystkich tych, którzyby najbardziej czuli korzyści z otrzymanych ustępstw, to jest przez klasy wyższe. I nastąpiłoby w nich, jeśliby go już nie było w dobie przyjmowania ustępstw, i coraz większe zubożenie religijne, znieczulenie duchowe jak się gdziedziej wyraziłem.

A ponieważ niższe warstwy byłyby więcej dotknięte, jak już jest dzisiaj, ciągnącym się dalej. — a czy nie obłudniej jeszcze, uciskiem religijnym — zaczęłoby się, a może, niestety, tylko by się dalej szerzyło, rozdwojenie interesu i nieufność, pochodząca z braku solidarności z ludem w sprawie Bożej. — I to byłby pierwszy moment tej smutnej sprawy.

Że zaś propaganda prawosławia, nawet przy ulgach nam danych, nie ustawałaby, ani na chwilę, przez budowę cerkwi, wyposażanie parafii schyzmatyckich — przeszkadzanie odbudowywania kościołów, przyciąganie ludzi mamiłkami, a szczególnie blaskiem, bogactwem ceremonii religijnych, na co zawsze schyzmatycy najwięcej liczą w obec ludu; — przez zasiewanie różnic, ułatwianie jednej stronie wszystkiego, a utrudnieniem wszystkiego drugiej: więc lud zacząłby się bałamucić, i, przy coraz częstszych małżeństwach mieszanych, i wynikających stąd pokrewieństwach z schyzmatykami, przemykałby się na bogatą, spokojną, bezpieczną drogę religii carskiej. Oto dlaczego utrzymujemy że z za kompromisu wygląda wynarodowienie przez prawosławie, choć zamiaru sprawosławienia nas nigdy nie przypisywaliśmy autorowi tych niewczesnych pomysłów. — Cośmy mu przypisali, to nieprzewidywanie następstw tych pomysłów; ale to przecie nikogo nie krzywdzi.

Przychodzi tu na myśl porównanie z położeniem Papieżstwa, zdaje mi się że trafne i dużo objaśniające. Rzeczą jest wiadomą, że Papieże muszą, dobrowolnem więzieniem swem w Watykanie, zaznaczać przed całym światem, że niema zgody między nimi a włoskim rządem, któryby pra-

gnął bardzo zgody na podstawie dokonanych faktów. Dlaczego ta niezgoda musi być tak jawną i wiadomą? Bo inaczej katolicy mogliby zawsze posądzać Papieży o słabość w rządach Kościoła, i ustępstwa na korzyść przyjaciela tak bliskiego i tak niezbędnego, jakim będzie, względem Papieństwa, każdy świecki pan Rzymu. — Otóż w oczach ludu naszego pod berłem Rosyi, różnica Kościołów zaznaczoną być może albo prześladowaniem, świadczącym o antagonizmie, albo nauczaniem, ale przy wolności religijnej. Zgoda zaś pozorna, bez zupełnej swobody nauczania, a przy obłudnych praktykach panującego prawosławia — to powolne zacieranie ducha katolickiego. Duch katolicki żyje tylko w wolności, lub w prześladowaniu, a pod protekcją państwa, nieprzyjaźnie usposobionego, musi umrzeć, Dzieje o tem świadczą na każdej karcie. To, co do różnicy Kościołów. Ale co do jedności ludu z klasami wyższymi, co do jedności społeczeństwa i zdrowia, to trudno, aby lud nie miał w podejrzeniu tych klas, że one zaprzedały jego najżywotniejszy interes, sprawę wiary, zbawienia i spokoju sumienia, jeśli z jednej strony będzie się widział podchodzonym przez wroga a z drugiej opuszczonym przez panów, nietylko pod względem wiary nieturbowanych, ale »lojalnych, otaczających tron« i trzymających we wszystkim stronę cara przez »karność politycznego« ale wygodnego »patryotyzmu«. Znajdą się wtedy inni opiekunowie, którzy go nieopuszczą — i daleko zaprowadzą.

VI.

Dowiedliśmy zatem, jak sądzymy pierwszego twierdzenia naszej argumentacji, w którym powiedzieliśmy, że Rosya nie cofnie się na drodze rozpoczętej unifikacji Państwa za pomocą urzędowego prawosławia.

Niebezpieczeństwo katolicyzmu w Rosyi, od polityki ugodowej grożące, więcej jeszcze uderza kiedy się zważy

jaka tam wobec tronu będą musieli zająć pozycję ugodowcy »otaczający tron« i reprezentujący zespolenie interesów naszych z rosyjskimi, — gdy się spostrzegą że wiara nie jest bezpieczną. Czy ich pośredniczące, między caratem i narodem, stanowisko będzie dla Kościoła pomocą w obronie czy zawadą? Oto pytanie.

Wspomina się teraz Wielopolskiego. Lecz czasy jego były inne. Za Wielopolskim stała jeszcze Europa, przynajmniej malowana, i Rosyanie się jej bali. To jedno. Co do stosunku Wielopolskiego, jako naczelnika rządu, z Kościołem katolickim, ten się wyraził w tych pamiętnych słowach, godnych każdego legisty i każdego liberalnego czciciela siły państwowej; »nie ścierpię państwa w państwie«. Pamiętajmy, że jeśli mógł to powiedzieć Towarzystwu Rolniczemu, to nic nie usprawiedliwiałoby tego traktowania Kościoła, chyba doktryna, że trzeba aby Państwo nad nim panowało. Wystawmy sobie tedy coby Wielopolski mógł zrobić gdyby mu się zdarzyła w Królestwie taka intryga jak w Hniliskach. A niechybnie zdarzyłyby się i nieraz. Czyby do obrony Kościoła i wiary użył zobojętniałego, bo służebnego Państwu, kleru, czy Kozaków. Bo, pod nim, musieliby Kozacy bronić katolicyzmu od prawosławia w Królestwie, a prawosławia od katolicyzmu w Cesarstwie.

Ale jeżeli wtedy taki Wielopolski nawet nie wiedziałby co począć — ciekawa rzecz jakby sobie poczęły te *Staatskatoliki*, którzy kiełkują już dzisiaj w rosyjskim zaborze pod zasiewem planów ugody? Są tam bowiem już tacy, którzy potępiają nietylko seminarzystów kieleckich, ale i tych księży co związali się z sobą tajemnie obietnicą wspólnej modlitwy dla obrony moralnej od prawosławia. »Tajemna robota, powiadają, antirządowa, anarchiczna. Co dziwnego że rząd jej ścierpieć nie może? Jest to mieszanie polityki z religią. Rząd religii nie grozi«. Tu już w Galicyi wtórują im *Staatskatoliki* tutejsze. Są tam w Królestwie, którzy tak rozumieją obowiązki posłuszeństwa względem władzy, że nie radzi są chłopom wpisującym się do szkaplerza Serca

Jezusowego, bo Rząd sobie tego nie życzy. Wszyscy oni są z tego samego autoramentu, i z tej i z tamtej strony kordonu. Po tem zaś jak tu służą sprawie Bożej można odgadnąć jakby jej tam bronili.

Bo jeśli tu, w Galicyi, tacy ludzie, mający się za arcy-katolików, nie śmieją rozwinąć katolickiej chorągwi, bo to »nie na czasie«,—bo »upadnie Taafe«—bo »trójprzysięże się zachwieje«, i t. d.; jeśli nie śmieją wziąć się do katolickiej społecznej pracy, aby cokolwiek nie uronić z danych, lub mających się dać, pomocy na polu ekonomicznem, finansowem, językowem, politycznem, jeżeli tu gdzie mamy pewną wolność, boją się politycy, aby tętno życia katolickiego, aby mowa gorętsza na wiecu katolickim nie obraziły ucha ministeryalnego, nietylko w Wiedniu, ale w Petersburgu, w Kwirynale, i woli się pokój z temi potęgami niż wychowanie katolickie przyszłego pokolenia, które, przez kanał nauki nie opartej na wierze, w oczach naszych przechodzi do socyalizmu,—to czegoż się spodziewać tam, pod rosyjską rękawicą! I jeżeli tu, oni mają tak grubą skórę, że nie czują obrazy czci katolickiej chorągwi z powierzania jej ludziom bez wiary, i praktykującym życie niechrześcijańskie, to jakichże kominków, maskarad, i konfuzyi należy się spodziewać od tych samych ludzi pod rządem, któryby nie pozwolił nigdy na to, by tam dochodziło jasne światło i czyste powietrze! I wtedy, przy rosyjskiej zręczności i potędze; przy zobojętnieniu religijnem naszych klas wyższych; przy prądach, kuszących do apostazy; przy pomysłach coraz to polityczniejszego patryotyzmu, który gdy się sparzy na kompromisach, przejdzie do panslawizmu mitygowanego federalizmem, pytamy, co się stanie z katolicyzmem u nas, co z ludem, co nareszcie z Polską Ojczyzną?

Taka byłaby niezawodnie polityka kościelna stronników kompromisu zespolonych z ideą rosyjskiego Państwa. Mogłaby ona otrzymać korzyści dla rolnictwa, przemysłu, kredytu, urządzeń administracyjnych,—chyba mało co więcej; ale to, co się tyczy religii, i religijnego, moralnego

wychowania, pozostałoby tem, czem jest. Tego Carat dzisiejszy, podszyty tym, który jest, duchem publicznym rosyjskim, z rąk nie wypuści. Tylko dziś wszyscy społem cierpią; wtedy zaś stronnicy kompromisu, którzy zeń majątkowo skorzysta, będą mówić duchowieństwu i ludowi: nie skarżcie się, milczcie, byśmy nie stracili tego cośmy już uzyskali; — owszem okażcie się wdzięcznymi wraz z nami. — Cierpliwości! Może Bóg da że za nowem panowaniem coś się i dla Kościoła odmieni. Zresztą, dodadzą, i gdzieindziej także Kościół cierpi. — Dlaczego Rosya ma być w tem lepszą od katolickich krajów, jak Francya i Włochy! I takim opiumowym dymem będą usypiać, usypiać, pasąc się, bawiąc i tracąc, aż lud, widząc się opuszczonym, zubożenie na wszystko. Znajdzie się tu i owdzie parafia co przejdzie na schyzmę, żeby nie stawiać nowego kościoła. Car zbuduje jej cerkiew — i ruch apostazji się zacznie. Panie, wytańczywszy się w lutym — pojedają, w marcu, płakać w Rzymie przed Papieżem — lecz wrócą na wyszcigi. Trzebaż córki za mąż wydawać.

A byt narodowy, dla ratowania którego szuka się dziś kompromisów, będzie rozdarty. Bo w oczach ludu, który od lat wielu, sam tylko, za wiarę cierpi, jakże ta polityka wyglądać będzie? Jako opuszczenie Boga i jego przez Panów. Wtedy, i wtedy słusznie, będą wspominać Targowicę, gdzie Ojczyznę zapredano; choćby się tam każdy był oburzył, gdyby mu kto intencję zapredania przypisał. Bo też intencji nie było, tylko fakt wypłynął z przesłanek.

Lecz, bądź co bądź, cierpieniem swem za wiarę, lud coś już zdobył. — Cierpieniem ludu już sprawa Boża posunęła się naprzód. A tu, bez względu na te zdobycze, wysuwają się jakieś cienie przeszłości, aby tę cichą pracę łez i krwi ludu zniweczyć cieniem elekcyi, zrobionej za cień paktów-konwentów! Bóg nie dopuści, aby owoc męczeństwa był stracony! — Nie widzą, że pod ich stopami powstaje nowe społeczeństwo. Lud, cierpieniem za wiarę, zdobył sobie obywatelstwo katolickie, któreby się stało obywatelstwem polskiem,

gdyby w tej krytycznej dobie przy niem stały klasy żyjące tradycją. To fakt, że na całym obszarze zaboru rosyjskiego lud katolicki rozumiał antagonizm swojej sprawy ze sprawą caratu rosyjskiego. Trzebaż, aby w tej samej chwili wyższe klasy miały przestawać to rozumieć! Ta nowa samowiedza odrębności duchownej, której może jeszcze braknie tu i owdzie cechy narodowej, ta to samowiedza będzie zbawieniem narodowego bytu w Rosyi, nie zaś kompromisy. To co przez żadną propagandę, przez żadne obietnice, ni dobrodziejstwa, nie mogliśmy pozyskać — czego Kościuszcze i powstaniu listopadowemu brakło — to się ziściło pod palcem Boga, w kórego rękę są serca nietylko monarchów, ale i chłopów: a ci, którzyby powinni skupiać prześladowanych w koło siebie, zagrażają temu nabytkowi, chcąc się skupić w około tronu prześladowcy! I to jest polityczny patryotyzm!

Że tego nie odczuwają ci, którzy nie mając wiary, patrzą na katolicyzm, jako na fakt ludzki, położony w głębi fundamentów bytu narodowego: to zrozumiałe. Ale, że wierzących duch szkoły tam oślepia: to co najmniej dziwne.

Bo czemuż przypisać, te różne *qui pro quo* wielbicieli zbyt już często omawianej książki i jej autora, jeśli nie temu, szkołom właściwemu, przykładaniu do rzeczy szkolnych szablonów. Nie możemy przecie, bez grzechu zuchwalstwa sądu, oskarżać ich o przekręcanie myśli — skoro ta praktyka ograniczoną jest, podobno, do jednych rewolucjonistów. Zaliczono nas np., wprawdzie pośrednio, do stronników teoryi o nieprzerwalności powstania, skoro odpowiadając na ukazane przez nas niebezpieczeństwa płynące dla wiary z teoryi »zespoleńcia nas z ideą państwową rosyjską« napisano, że gorsze wierze grozi niebezpieczeństwo od spiszków, powstań i ich skutków, aniżeli od cierpliwego znoszenia faktu«.

Otóż z tego, że jesteśmy radykalnie przeciwni polityce zespalania nas z ideałami państwowymi wszystkich mocarstw

rozbiorowych, dla tego, że się ona z jednym powiodła, nie wypływa wcale, abyśmy byli za spiskami i powstaniami. *Datur tertium membrum* — jak mówią w szkole. Jest jeszcze trzecia droga — droga właśnie »cierpliwego znoszenia faktu«, ale bez zgodzenia się zasadniczo na fakt, właśnie tak, jak czyni Papiestwo w sprawie Rzymskiej.

Jest więc nie dwie lecz trzy drogi dla Polaków. Jedna droga utrzymywania patriotyzmu w gorączce przez ruchy, demonstracje i powstania; — tej drodze jesteśmy wszyscy przeciwni, prócz obozu rewolucyjnego. Potem, jest droga cierpliwego znoszenia faktu, pracując nad odbudowaniem społecznem, ale trzymając się zdala od pretensyi »rozwiązania kwestyi Polskiej«, przez stanięcie akurat tam, gdzie nas postawić zamierzyła Katarzyna, t. j. w koło tronu i pod chorągwią rosyjską; — i tej drogi trzymamy się my, a także i »Przegląd Polski«, o ile sądzić można z recenzji o »St. Koźmianie«. Trzecią zaś drogą jest zgodzenie się zasadnicze, radykalne na fakt istniejący z popieraniem, dalszego jego rozwoju, przez otoczenie tronu, i przejęcie się myślą jego państwową; i ta droga proponowaną nam jest przez p. Koźmiana, a przypisana przez niego całej »szkole« Stańczyków — co nie jest słusznem, skoro taki »Przegląd Polski« wyszedłszy, jak Balaam, przeklinać Izraela, a błogosławić Moaba, zrobił przeciwnie, bo mu miłsza jest prawda od Platona — i ostatecznie, stoi razem z nami.

Wracając do rzeczy, czy nie wolno nam myśleć żeśmy dowiedli, cośmy dowieść zamierzyli? Naprzód, że Rosya carsko-prawosławna nie może odwrócić się od celu — który już, na oko, dostrzegła — zjednoczenia plemion i narodów jej podległych, a potem Słowian, w tej właśnie jedności państwowej carsko-prawosławnej, do której już i nasi śmieją nas nakłaniać. Powtóre, że niebezpieczeństwa wiary tem jeszcze muszą być pomnożone, że ci, którzyby z Rosyą *pacta-conventa* podpisali, nie byłiby Kościołowi obroną, lecz zawadą. Wywiązawszy się z tej części zadania, przejdźmy do innej, nie mniej ważnej.

VII.

W poszukiwaniu argumentów przeciw twierdzeniu naszemu, że polityka kompromisu z Rosyą sprzeciwia się interesom Kościoła, nieomieszkano i tego, żeby ją wywieść z przepisów Pisma Świętego. Przekonajmy się czy sprawiedliwie.

»Zżymać się u nas lubią, powiedział ktoś w tej sprawie, na słowa Św. Pawła: »Wszelka władza pochodzi od Boga«; nie mogą zrozumieć, jakby od Boga pochodzić mogło złe. Nie tłómaczmy zaś, że pochodzi jako dopust i kara, bo tam tego dodatku niema. Ale przypomnijmy sobie pewną rozmowę z Piłatem: »Nie miałbyś żadnej władzy nademną, gdybyć z góry nie była dana«. Dlaczego, na jak długo? tego nie wiemy; ale niewątpliwie, niezaprzeczenie »z góry była dana« w jakimś celu przed nami zakrytym. A jak Pan Jezus poddał się władzy Piłata, choć ona sprawiedliwą nie była, tak my powinniśmy poddać się tej woli z góry, który władzę nad nami temu nieprzyjacielowi dała. Jeżeli o zasadę chodzi, dodano jeszcze, to to jest zasada, i zarazem jej zastosowanie: pogodzenie patryotycznego uczucia z chrześcijańskim sumieniem, w zupełnej pewności i spokoju, że się jednego i drugiego nie obraża, choć się fakt podległości spokojnie znosi«.

Wiemy już, że to »spokojne znoszenie« jest osłodzoną, nie zaś prawdziwą postacią polityki zdążającej do szczerego i dobrowolnego oddania się naszego Rosyi. Ale zajmijmy się teraz wartością teologiczną tej oto metody używania Pisma Świętego.

Trudno ludziom tego zabronić, katolicy jednak powiniby oględniej tych rzeczy dotykać, aby zamiast trudność rozwiązać, sumień nie bałamucili. Bo, pytamy, czy po przeczytaniu owego ustępu nie zostaje wrażenie, że od Boga może w istocie pochodzić jakieś złe, i że Kościół każe temu złemu ślepo się poddać. Napróżno rozum chciałby

ujść temu złemu wrażeniu, przez nazwanie złego dopustem lub karą: na to mu, gwoli celom politycznym, odpowiadają, że nie wolno — »bo tam tego dodatku niema«. Jeżeli się zaś przytoczyło cudze zdanie fałszywe, »że Bóg jest źródłem złego«, to nie należy go zostawiać bez odpowiedzi. A jeżeli się własne zdanie wyraża w formie politowania nad tymi, którzy »nie mogą zrozumieć, jakby od Boga mogło pochodzić złe, to zaznaczywszy, że tem złem jest, tutaj, panowanie nad nami rosyjskie, zapytamy, w imię czego nas p. Koźmian do objęcia oburącz tego złego namawia? Bo nie w imię Pisma, którego on nie przytacza ani razu, jako powagi. A w takim razie nie bronić go trzeba, lecz potępić. Ale, za to, Boga trzeba, w każdym razie, od zarzutu obronić — inaczej osłabia się pojęcie nieskończonej Jego dobroci.

Co się tyczy słów przytoczonych P. Jezusa do Piłata, to one się tu nie stosują. *Potestas* ma dwojakie znaczenie; mocy i zwierzchności. Wujek, który w wyżej przytoczonym słowie Śgo Pawła używa wyrazu: zwierzchność, w tem miejscu woli użyć wyrazu: moc. »Nie miałbyś mocy żadnej przeciw mnie, *adversum me*, (nie nademną), gdybyć z wierzchu nie było dano« (Jan, 19). Więc Menochiusz tak komentuje: »Chociaż jesteś starostą tej prowincyi, postanowionym od Cesarza, nie miałbyś etc.«. Jakże już daleko jesteśmy od zwyż rzeczzonego rozumienia! I Cornelius a Lapide nie inaczej pojmuje — i idąc za wielu innymi, ani słowem tego do władzy społecznej nie stosuje; tylko widzi tu zaznaczenie specjalnej woli Ojca Niebieskiego, który wszystko urządził ku temu, aby Odkupienie się spełniło. Więc taką samą moc, nie władzę, miał Judasz nad Chrystusem, i szatan, kiedy Go prznosił ze Świątyni na górę. Upada tedy wszystko co ów pisarz z tego przykładu wyprowadza, co do naszego obowiązku względem Rosyi. Upada też nieco dumne twierdzenie: »Jeśli o zasadę chodzi, to to jest zasada«. Zasada, ośmielimy się zapytać, czy przesada?

Inna rzecz z przytoczeniem Św. Pawła — choć równie niedokładnem, i równie błędnie tłómaczonem. O niem wszakże nie powiemy, że się do rzeczy nie odnosi. Owszem, jest, to miejsce, jednym z fundamentów teoryi o władzy — lecz łatwem do zrozumienia nie jest. Oto są słowa Apostoła z listu do Rzymian. (R. XIII): »Wszelaka dusza niechaj będzie poddana wyższym zwierzchnościom. Albowiem nie masz zwierzchności jedno od Boga: a które są, od Boga są postanowione. Przeto kto się sprzeciwia zwierzchności, sprzeciwia się postanowieniu Bożemu. A którzy się sprzeciwiają, ci potępienie sobie nabywają. — Albowiem przełożeni nie są na postrach dobremu uczynkowi, ale złemu. A chcesz się nie bać urzędu? czyń co jest dobrego: a będziesz miał chwałę od niego. — Albowiem jest sługą Bożym tobie ku dobremu. Lecz jeśli uczynisz co złego, bój się, bo nie bez przyczyny miecz nosi. Albowiem jest sługą Bożym: mścicielem ku gniewu temu, który złość czyni. — Przetoż z potrzeby bądźcie poddani, nie tylko dla gniewu, ale też dla sumienia«. Łatwem zaiste to miejsce nie jest. Bo z jednej strony prawda to niewątpliwa, że złe od Boga pochodzić nie może, a bywają przecie rządy nieprawe i złe. Z drugiej strony, Apostoł wyraźnie mówi, że nie masz zwierzchności (*potestas*), jedno od Boga, a które są, od Boga są postanowione (*a Deo ordinatae sunt*).

Głęboką uwagę robi Św. Jan Złotousty, gdy rozróżnia panującego od władzy, którą on dzierży. »Apostoł, powiada on, nie pisze: nie masz panującego, któryby od Boga nie był postanowiony; lecz mówi o rzeczy w sobie: nie masz zwierzchności jedno od Boga«.

Że zaś są władzcy, którzy nie są od Boga — gdyby nam tego rozum nie mówił — nauczyłby nas sam Duch Święty — mówiący usty Ozeasza proroka: »Oni królowali, a nie ze mnie; książęty byli, a nie znałem«. (Oz. 8).

Ks. Mądrości, przed Św. Pawłem, w znanych a wspólnych słowach oznacza charakter władzy według myśli Bożej, i cel dla którego jest powierzona władzcom: »Słu-

chajcie królowie, i rozumiejcie... dana jest wam władza od Najwyższego, który się pytać będzie... że będąc sługami Królestwa Jego, nie sądziliście sprawiedliwie, aniście strzegli prawa sprawiedliwości, aniście chodzili według woli Bożej«. — Św. Paweł tak samo obowiązki władzy określa. Bądź poddanym, posłusznym zwierzchności, mówi, »albowiem jest służą Bożym tobie ku dobremu«, »Przetoż z potrzeby bądź poddanym, t. j. koniecznie, (*ex necessitate*) nie tylko dla gniewu, ale dla sumienia«.

Skoro są władzcy, używający władzy nie w imieniu Boga (Ozeasz), ponieważ są, którzy nie rozumiejąc swego zadania, nie są sługami Królestwa, bo nie chodzą według woli Bożej (Mądrość), ponieważ są, którzy nie są sługami Boga ludziom ku dobremu (Św. Paweł), lecz sługami księcia tego świata ludziom ku złemu, więc istnieją władze nieprawe — i cały ustęp Św. Pawła do nich się nie odnosi. Św. Paweł mówi o władzy prawowitej, której to prawowitość fundamentem jest »służenie Królestwu Bożemu«, »chodzenie według woli Bożej«, »służenie Bogu w ludziach ku dobremu«. Do tych tylko władców prawowitych stosują się słowa Św. Pawła. I dlatego »Syllabus« Piusa IX, potępiając w propozycji 63-ciej bunt i odmówienie posłuszeństwa, mówi tylko o zwierzchnościach prawowitych, nieprawowite zaś milczeniem zbywa.

Nieprawowitym rządóm nie należy się posłuszeństwo, chyba z bojaźni, dla uniknięcia większego zła, co jest obowiązkiem cnoty roztropności — obowiązkiem społeczności względem siebie, nie względem tych rządów. Lecz ten obowiązek nie podpada pod przytoczone słowa Św. Pawła: »Kto się sprzeciwia zwierzchności, sprzeciwia się postanowieniu Bożemu. A którzy się sprzeciwiają, ci potępienie sobie nabywają«. Zauważmy, że Stolica Święta nigdy nie potępiła naszych powstań, dopóki nie stało się jawnem, że były dziełem nieroztropnem, a przeto grzechem, skoro sprowadziły większe cierpienia na naród i na Kościół.

O posłuszeństwie też względem panujących tak pisze Św. Tomasz: »Władzcom świeckim o tyle człowiek winien być posłusznym, o ile tego wymaga porządek sprawiedliwości. Więc jeżeli nie mają prawowitej zwierzchności (*iussum principatum*), lecz przywłaszczoną (*usurpatum*), albo jeśli rozkazują rzeczy niesłuszne, poddany nie jest obowiązany do posłuszeństwa; chyba może accyidentalnie (*per accidens*) dla uniknięcia zgorszenia, lub niebezpieczeństwa«¹⁾.

Wiadomo, jak Belarmin i Suarez te materye traktowali, walcząc z regalistami Francyi i Anglii. Balmès za dni naszych, idąc w ślad za tymi mistrzami, i za Św. Tomaszem, tak pisze: »Aby zwierzchność świecka mogła wymagać posłuszeństwa, i aby można jej przyznać to boskie prawo, trzeba, aby ta zwierzchność była prawowitą; to znaczy, aby osoba, lub osoby, dzierżące ją, były ją nabyły prawnie, lub aby, jeżeli ją nieprawnie nabyły, została w ich rękach uprawnioną za pomocą środków prawnych. Pewna doktryna chciałaby, aby posłuszeństwo należało się rządowi, dla tego tylko że są, ze względu jedynie na fakt, przypuszczając nawet tego faktu nieprawowitość. Ta nauka jest fałszywa: sprzeciwia się rozumowi i nigdy nie była przez katolicyzm podawana. Kościół nakazuje posłuszeństwo tylko zwierzchnościom prawowitym; nie-dorzeczność utrzymująca, że prosty fakt może być źródłem prawa, nie może mieć miejsca w dogmacie katolickim. Gdyby to było prawdą, gdyby niewolno było opierać się rządowi nieprawemu, byłoby równie prawdą, że ten rząd miałby prawo rozkazywać i byłby uprawnionym przez samo istnienie swoje. Wtedy wszystkie uzurpacye byłyby uprawnione, najheroicniejsze opierania się ludów byłyby potępione, świat byłby oddanym panowaniu samej siły. Nie, nie jest prawdą, ta poniżająca nauka rozstrzygająca o prawowitości, z pomyślnego skutku przywłaszczenia; mówiąca narodowi zwyciężonemu i ujarzmionemu: Poddaj się

1) Summa, 2, 2, q. 104, art. 6.

tyranowi: jego prawa wypływają z jego siły, twoje obowiązki — z twojej słabości».

Tak pisał Hiszpan — nie Polak, — lecz pewnie myślał o Polsce, w której jeszcze nie ukazała się była »szkoła patriotyzmu politycznego«. I pisał jeszcze co następuje: »Zdaje się, że nauki fałszywe kryją się pod płaszczem słodczy chrześcijańskiej; mamy obowiązek rozważać wszystkie argumenty stronników ślepego poddania się wszelkiej władzy istniejącej. Pismo św., mówią oni, nakazuje nam posłuszeństwo bez robienia żadnej dystynkcji (np. »dopustu lub kary«); więc Chrześcijanin powinien z rezygnacją poddać się rządowi istniejącym. Na to, mówi dalej Balmes, są odpowiedzi stanowcze:

1. Władza nieprawowita nie jest władzą: pojęcie władzy zawiera w sobie pojęcie prawa, bez czego nie masz, jedno władzę fizyczną, siłę. A zatem, gdy Pismo św. każe być poddanym zwierzchnościom, mówi tylko o prawowitych.

2. Pismo św., tłumacząc przyczynę naszego poddania się władzy świeckiej mówi, że jest ona przez Boga samego ustanowiona, i że jest Jego służką: rzecz jasna, że uzurpacja nie mogłaby nigdy być obleczonej w godność tak wysoką».

Po tych kilku cytatach możemy powrócić do św. Pawła, by postarać się o pogodzenie pozornych sprzeczności w przytoczonym ustępie z listu do Rzymian.

Apostoł ma oczywiście na celu urządzenie królestwa Bożego: ku temu jest posłany. Opisuje więc konstytucję wewnętrzną tego Królestwa i daje odpowiednie przykazania. Królestwo Boże stoi na posłuszeństwie Bogu — i zwierzchności społecznych zadaniem jest takie a nie inne posłuszeństwo wprowadzić i utrzymać.

Najprzód więc mówi św. Paweł o zwierzchności zawartej potentialiter, jak mówi Scholastyka, w naturze

¹⁾ Balmes. Protestantyzm i Katolicyzm R. 50 i 51.

społeczeństwa przez jego Stwórcę. Społeczeństwa fundamentem i hypostazą, że tak się wyrażę, jest zwierzchność. Gdziekolwiek jest społeczność, jest w niej, współnaturalna jej, zwierzchność, którą uważać należy naprzód w stanie ukrytym, potencjalnym, t. j. nim się społeczność zdeterminowała na aktualizację swojej zwierzchności — to jest nie oznaczyła, nie ustanowiła rządzących.

W tem znaczeniu potencjalnym, nie aktualnym, wzięta zwierzchność, jest od Boga dana jako centrum i fundament każdemu społeczeństwu, byleby było społeczeństwem godnym tego imienia, nie bandą opryszków, i o tej zwierzchności można mówić, w sposób najogólniejszy i prawdziwy, to co mówi św. Paweł: że »niemasz zwierzchności jedno od Boga — i że którekolwiek są, od Boga są postanowione« — i że kto się im sprzeciwia« — aktem rozumie się anarchicznym nieposłuszeństwa — »ten sprzeciwia się porządkowi Bożemu«. Bo od kogóż może pochodzić doskonałość każda — a zwierzchność jest nią — jeśli nie od Boga, w którym jednym jest doskonałość wszelka, więc i doskonałość panowania. Gdy nie służy »ku dobremu« zwierzchność przestaje być doskonałością stanu społecznego, chybaby w tem znaczeniu jak choroba, która jest doskonałą, gdy zabija.

Postawiwszy zaś w tych słowach podstawę nauki o społeczeństwie i dawszy rys jego natury, Apostoł przechodzi do znaczenia drugiego, do aktualnego już pojęcia zwierzchności. Takie połączenie różnych znaczeń, częste jest w Piśmie św. Więc dalej mówi o tem, czem jest zwierzchność aktualna, z postanowienia Bożego, w Jego aktualnym Królestwie. I w Bożem urządzeniu, (*ordinatio Dei*) — w którym zwierzchność, regularnie, z potencjalności swej, oznaczeniem osób rządzących przez społeczeństwo, przechodzi do stanu aktualności, — wskazuje św. Paweł usprawiedliwienie żądanego od Boga poddania się zwierzchności. Więc mówi człowiekowi: Bądź posłusznym, daj się prowadzić temu, który od Boga ma zadanie prowadzenia

cię ku dobremu, ku szczęściu na ziemi, a nawet, *in di-recte*, ku szczęściu w niebie.

A zatem św. Paweł mówi tylko o porządku ustanowionym przez Boga, naprzód w naturze społeczeństwa, jako fundamencie Królestwa Jego — potem w Kościele jako w Królestwie już aktualnem. To wszystko zaś, co jest zwierzchnością przez siłę, to co jest dopustem, co z uzurpacji jest i z anarchii, nie z »urządzenia Bożego« — więc uzurpacya praw Bożych przez rządy masońskie, i uzurpacya praw Kościoła przez schyzmatyckie, — to wszystko nie jest objęte doktryną św. Pawła. Wyływa to z zestawienia tekstów i komentarzy, któreśmy dopiero co przytoczyli.

VIII.

Przystąpmy teraz do bliższego rozbioru kwestyi prawowitości władzy, od której zawisły nasze względem niej obowiązki, w imię nauki Apostolskiej.

Skoro społeczność jest dziełem Stwórcy i skoro władca, jak ucza Belarmin i Suarez, po św. Tomaszu z Akwinu, jest złożona w naturze społeczeństwa przez Stwórcę, i jest przeto składową i fundamentalną tej natury częścią — więc 1^o nieprawowitą jest zwierzchność, będąca w zasadniczej opozycji z Bogiem, a jeśli idzie o społeczeństwo katolickie, to i z Kościołem, bo ten jest mieszkaniem i wyrazem Boga na ziemi; i 2^o, nieprawowitą jest zwierzchność niespojona jednością natury ze społeczeństwem, a tembardziej taka, która tej naturze jest wroga. To jest loicznym następstwem tamtego.

A więc prawowitość każdej władzy jest z Boga, i to dwojaką drogą. Raz — bezpośrednio: kiedy jest ona »służebnicą Królestwa Bożego«, »sługą Bogu ludziom ku dobremu« — a jeżeli idzie o społeczność chrześcijańską, to sługą Boga według Jego Kościoła, ludziom

ku temu, aby, jak mówi św. Paweł, mogli iść do zbawienia, »wiodąc żywot cichy i spokojny we wszelkiej pobożności i czystości« (I. Tym. 2). Powtóre prawowitość jest z Boga drogą pośrednią natury: kiedy Władza jest istotną częścią integralną społeczeństwa, jest jakoby jego uosobieniem, hypostazą, tem, czem osoba jest w ludzkiej naturze.

»*Per me reges regnant*, — przez mię królowie królują, i prawodawcy stanowią sprawiedliwość: przez mię książęta panują i mocarze skazują sprawiedliwie« (Przyp. 8).

Bóg jeden, jako naturą przewyższający człowieka, i jako Pan jego naturalny, dlatego, że go stworzył — Bóg jeden ma z istoty Swojej prawo rozkazywania człowiekowi. Bo prawo rozkazywania jest prawem usuwania rozumu i woli podwładnych przed rozumem i wolą rozkazującego. Któż więc może mieć takie prawo nad istotą rozumną i wolną, jeśli nie Ten, który jest Prawdą i Miłością esencyalną. Tylko osobista Prawda i Miłość mogą powiedzieć rozumowi ograniczonemu i woli skończonej — »idźcie za mną« — i tak powiedzieć, żeby szły.

Dlatego też nikt na ziemi nie usprawiedliwi swego prawa rozkazywania, jeśli go nie oprze na Bogu, i nie »chodzi, jak mówi Mądrość, według woli Bożej«.

A, po odkupieniu, to »chodzenie według woli Bożej« jest chodzeniem według wskazówek kościoła katolickiego.

Z drugiej strony, Bóg, dając naturę społeczną człowiekowi, tem samem stworzył społeczeństwo, którego fundamentem, nawet w stanie niewinności, nawet w niebie, jest posłuszeństwo zwierzchności. Zwierzchność więc należy do natury społeczeństwa; to zaś ostatnie ma, z natury, obowiązek poddania się swojej wspólnej zwierzchności — zupełnie tak jak człowiek ma obowiązek rządzenia się własnym rozumem, nie cudzym.

Jeżeli więc trzymać się natury rzeczy, czyli prawa społecznego przez Boga nadanego, to owo prawo rozkazy-

wania, będące wyłącznym prawem Boga nie może być przez Boga powierzonym jak tylko władzy w spółnaturalnej społeczności — chyba za karę — ale wtedy, aby był obowiązek posłuszeństwa, w tem, Bogu, — powinno być ludowi niewątpliwie wiadomem, że to Bóg karze przez obcą społeczności władzę. Tak widzimy, że Bóg Izraelowi, przez objawienia proroków, oznajmiał, że mają mieć Asyryjczyków za Panów. Już co do panowania Greków tego nie było, i dla tego powstanie Machabeuszowskie było przez Boga popartem.

Z drugiej strony, ponieważ, od człowieka, tylko Bogu należne jest posłuszeństwo, zwierzchności zaś społecznej należy się ona tylko o tyle, o ile ona Boga przedstawia; więc skoro Bóg, jak się powiedziało, w naturalnym biegu rzeczy, nie daje prawa rozkazywania innej władzy, jedno spółnaturalnej społeczności; to i ze swej strony społeczeństwo nie tylko, że nie ma obowiązku, ale nawet nie ma prawa — jeżeli jawnie Bóg nie rozkaże inaczej, we władzy obcej naturze swojej uznawać władzę Bożą, i oddawać jej posłuszeństwo, jako zastępcy Boga.

Ono ma obowiązek — powiedzmy to bezwzględnie — poddać się konieczności dla uniknięcia gorszych następstw, tak jak jeniec zbójców ma obowiązek słuchania ich, aby ująć śmierci — ale to nie jest poddaniem się zwierzchności dla Boga, tylko aktem roztropności, której niewątpliwie Bóg wymaga, ale nie z tytułu posłuszeństwa dla istniejącej zwierzchności.

To pokazuje, raz jeszcze — mówiąc to nawiasowo — jak ścisłem jest, zwłaszcza w prawdziwym Kościele złączenie Boga ze społeczeństwem, w którym On ma Swoją regularną, ziemską, społeczną funkcję. A stąd ważność i konieczność społecznego stosunku z tym Mocarzem utajonym, — służenia Mu modlitwą, czią i posłuszeństwem.

Teraz możemy już zrozumieć czem jest władza spółnaturalna społeczności? Jest to ta władza, która ma i^o jedno dążenie, jeden cel ze społeczeństwem; a więc

2^o jednego z nim jest ducha, jednej myśli, jednego sposobu zapatrywania się na wspólne dzieje i na zadanie wspólne; 3^o której w tem wszystkim czas dał swoją sankcyę, dopuszczając, aby, jeśli była z początku obcą, zrósć się mogła ze społeczeństwem, stać mu się przeto współnaturalną i prawowitą.

Bo nie może być władzy prawowitej, któraby długo i systematycznie była w sprzeczności z ciałem społecznem. Dlatego też przytoczeni już teologowie stawiają *consensum communitatis*, zgodę społeczeństwa na władzę, jako warunek prawowitości władzy. Jak znowu nie może być, aby, jeśli społeczeństwo jest zepsute, władzą prawowitą była taka, któraby tem samem zepsuciem żyła, a nie dążyła do wydzwignięcia społeczeństwa z zepsucia, bo taka władza nie byłaby w zgodzie z Bogiem, jedynym władcą społecznym z Siebie, i nie rozkazywałaby w Jego imieniu.

Tembardziej więc, gdyby zwierzchność w społeczeństwie, zepsutem czy nie, sama była zepsutą, a zatem nie była »na postrach« złemu, lecz dobremu, i nie była »sługą Bożym człowiekowi ku dobremu«, lecz przeszkodą, — to, oczywiście, nie stałaby na »postanowieniu Bożem« i byłaby narzędziem »mocy ciemności«, mającej także swoje zadanie i swoją godzinę: »*Haec est hora vestra et potestas tenebrarum*«.

Mogą być, i są, funkcyje władzy nieprawowitej, jak policya, porządek, sądy, — które gdy istotnie podtrzymują przynajmniej elementarny ład społeczny, dzieją się zawsze w imieniu Boga, ale nie dają prawowitości władzy, bo to są czynności nie dotyczące się ducha, kierunku, przymierza ludu chrześcijańskiego z Bogiem — prawdy i nieprawdy. Owszem, te władze, jeżeli nie chodzą według woli Bożej w rzeczach życia duchowego — to nie mogą nie nakręcać najelementarniejszych rzeczy ku własnym celom, nie przewracać ich i nie kazić; i przeto, dawać dobrym tylko polewę należnego im bezpieczeństwa i pokoju.

Takie władze nie są prawowite, bo w porządku ch r z e-

ścijańskim, mającym na celu »służbę Bożą ku dobremu«, którem jest ostatecznie, zbawienie dusz, nie wystarcza dla prawowitości, utrzymywanie porządku siłą, gdy się bałamuci dusze fałszem. Przed Chrystusem były dwie społeczności: jedna Boża, której zadaniem było przygotować zbawienie rodzaju ludzkiego — przez przechowanie prawdy i usłanie kolebki dla Słowa; druga, ludzka, której zadaniem było ochronić od zdziczenia i zagłady materyał ludzki i przygotować w rozumie ludzkim i ludzkiej woli podkład nauki i prawa, ładu społecznego, filozofii i sztuki, dla zasiewu i wzrostu Słowa. Wtedy rola nagiej siły tak w jednym, jak w drugim celu była ogromna, jej zadanie konieczne.

Lecz zwierzchność społeczna, któraby dziś, w porządku łaski, kiedy pochodnia światła zatknięta została w Kościele, na ziemi, urządziła się tak, żeby utrzymać ład społeczny tylko siłą, wyrывая zasiew duchowy Słowa Bożego, naznaczając ludności inny cel niż Boży — nie niebieski, lecz ziemski, lub inną drogę do celu niebieskiego niż przez Chrystusa w prawdziwym Kościele mieszkającego, który jest jedyną »drogą« — taka zwierzchność, pytamy, w jakim stopniu byłaby »sługą Bożym ludziom ku dobremu?« Ona, któraby pracowała nad sfalszowaniem pojęć moralnych o tem, co złe i co dobre! Ona, której praktyki stawiały by ludzi nieustannie między cierpieniem nieznośnym, a pogwałceniem sumienia?

Oczywiście taka władza nie byłaby wcale a wcale sługą Bożym ku dobremu. Inaczej trzeba by powiedzieć, że rządy Antychrysta, będą z postanowienia Bożego — gdy wiemy z pewnością, że będą godziną i mocą ciemności.

Otóż są dziś zwierzchności społeczne, które rządzą tym, co Antychryst będzie rządził, systemem, i przyjdzie jego przygotowują, starając się, za pomocą siły, wyrwać ludzkość z pnia Chrystusowego i zaszczyć ją na pniu czysto ludzkim, t. j. na pniu zatrutym przez szatana, bo innego pnia czysto-ludzkiego, prócz grzesznego, niema. Ro-

zumiemy, że św. Jan mówił już o Antychryście, jako istniejącym, *et nunc est*, bo to, które i dziś jest, i silniejsze niż dawniej, usiłowanie ludzkie, w postaci rzymskiego imperium już wtedy istniało, i od początku z Chrystusem walczyło.

Te zaś zwierzchności, fałszujące prawdę i wypaczające przeto rozum ludzki, w najgłębszej naturze jego, są dwojakie: jedne, które odrzucając całkiem i Prawdę i Urządzenie jej życia w Kościele, opierają się na racjonalizmie i przekształcają społeczność za pomocą Rewolucyi; — drugie, które nie odrzucają Prawdy, ani nawet Urządzenia jej w Kościele, lecz chcą Wieczną Prawdą i Bożym Kościołem posługiwać się dla ziemskich celów. Jedne są rządy masonskie, których końcem jest socjalizm; drugie są rządy schyzmatyckie w Rosyi do najwyższego swego wyrazu dochodzące, które — że racjonalizmu nie chcą, że żadnego życia i rozwoju nie dopuszczają — więc oparli się na martwej tradycyi, przez siłę ją wyzyskują, i wywołują, nagim twierdzeniem, równie nagie przeczenie: nihilizm.

Jedne i drugie, dziś, chcąc opanować społeczeństwo katolickie, i nie mogąc wyrwać zeń wiary, bez rozdarcia rozumu, w który ona wrosła, sięją niewiarę, plując pod nią szerzeniem niemoralności; więc przewracaniem porządku natury, przez Boga z Kościołem spojony; więc urządzeniem ludzkości, tu na życiu wyłącznie ludzkim, przez prawa bez Boga, cywilne śluby, cywilne pogrzeby i t. d. tam na ślepem posłuszeństwie władzy świeckiej, obłudnie wsuniętej w pochwę kościelną: wszędzie, przez osłabianie systematyczne powag rodzinnych i społecznych, a wywyższanie powagi Państwa, zasadniczo przeciwnej naturze, gdy jej nie miarkuje Kościół.

Takie społeczne zwierzchności są rzeczywiście i formalnie złem, i nie są już z postanowienia lecz z dopustu Bożego, dla kary lub nauki ludowej dopuszczone, albo cierpiane są przez Boga, jako wynik przyczyn naturalnych, t. j. grzechów i błędów ludzkich, wynik,

tylko przez wdanie się Boga mogący być usuniętym, lecz o to wdanie się Boga albo się ludzie nie starają, albo się nie tak starają jak trzeba.

Słusznie więc, u nas, »zżymają się« na brutalne stosowanie do podobnych wypadków słów Św. Pawła, bo się ich one nie tyczą; i słusznie, »nie mogą zrozumieć, jakby od Boga mogło pochodzić zle«, bo nie od Boga ono pochodzi. A niesłusznie znów mówi się na to, że trzeba milczeć, słuchać, i kwita, bo tak każe Apostoł, który o »dopuszcie i karze nie wspomina«. Nie wspomina, bo mówi o porządku Bożym i o rządach prawowitych, a prawodawcą gwałtu nie jest.

Antychryścjanizm w żadnym stopniu nie należy do ład społecznego Bożego, czy jest jawną negacją chryścjanizmu, czy tylko negacją Kościoła, czy negacją społecznego bytu narodów w Kościele będących, czyli też stawianiem Anty-Kościoła przeciw Kościołowi, jak czyni Rosya.

Jeżeli więc Bóg każe nam być posłusznymi takim instytucjom bezbożnym, to nie jakoby przedstawicielkom Jego zwierzchności, ale bądź do specjalnych celów nas gotuje, bądź, raczej, każe nam przez roztropność znosić co On Sam znosi.

Takie instytucje zatem antychrześcijańskie, antyspołeczne lub antykościelne, powinny być dla katolika przedmiotem nienawiści, jeżeli niema się w nim zmysł katolicki sfalszować, i osłabić się miłość Kościoła. Już wyżej zrobiliśmy różnicę między takimi instytucjami a społeczeństwami i ludźmi przez nie opanowanymi, możnaby nieomal powiedzieć opętanymi, siłami zepsucia, fałszywego nauczania lub obowiązku patryotycznego, nie regulowanego miłością prawdziwego Kościoła, a zatem prawdziwej myśli Bożej w ludzkości. — Takimi instytucjami są dziś niejedne urządzenia państwowe, które są taranami, rozbijającymi dawne urządzenie chrześcijaństwa.

Otóż twierdzimy, bez obawy, aby nam kto zaprzeczył,

że jeśli nie wolno nam, jako katolikom, nienawidzić ludzi, np. Rosyan, ani mieć ich w pogardzie, — owszem, powinniśmy ich miłować, — to nietylko możemy, ale powinniśmy nienawidzić ich błędy, i stojące na tych błędach urządzenia, w które oni są ujęci, jak w zęby żelaznych kół. Imperyum Rosyjskie, na prawosławiu oparte, i które, okuwszy schyzmę w siłę państwową, zwraca jej ostrze wprost w serce Kościoła, jest jednym z ważniejszych tego rodzaju urządzeń. Jak tedy obowiązkiem jest każdego miłującego swój kraj, jeśli ten kraj jest »w służbie Bożej«, nienawidzić instytucje temu krajowi, jako słudze Bożemu, wrogię, — tak jest obowiązkiem katolika, miłującego Kościół, nienawidzić instytucje zasadniczo Kościołowi wrogię, jakich dziś jest na świecie przynajmniej dwie: antykościelna Rosya i antypapieskie Włochy. Powtarzam z umysłu: nienawidzić jako instytucje, dla tego, że te instytucje pracują usilnie nad zwróceniem rodzaju ludzkiego, bądź przeciw Kościołowi — t. j. przeciw Chrystusowi — bądź, w ogóle, przeciw Bogu.

Co o działaniu Rosyi myśli Kościół, to doskonale wyraża przytoczone, w »Przeglądzie Polskim«, słowa Grzegorza XVI-go: »Sprawy waszej ja nie przesądziłem, Bóg ją rozsądzi. A tymczasem ja muszę cierpieć ten stan rzeczy, jaki On sam cierpi, póki innego nie zdarzy«. — Co o kierunku zjednoczonych przeciw Papiestwu Włoch Kościół myśli, to wie każdy. Dość powiedzieć, że katolikom włoskim zabrania jakiegokolwiek czynnego, dobrowolnego udziału w działaniu i życiu tej antychrześcijańskiej instytucji.

Jednym słowem, zwierzchność, która jest zwrócona przeciw Bogu, lub przeciw Kościołowi katolickiemu, lub przeciw części jego, będącej narodem katolickim — więcej powiem, — zwierzchność narodu chrześcijańskiego, choć niekatolickiego, stojąca temu samemu, już własnemu narodowi, choćby z nią zajedno w błędzie trzymającemu, na przeszkodzie do zjednoczenia się z Kościołem, nie jest

dlań prawowitą, nie jest z postanowienia Bożego — bo Bóg niczego nie stawia na kłamstwie i na gwałcie.

IX.

Jak głęboki musi być ten kryzys, który przechodzi myśl polska, pokazuje to, że stało się możliwem proponować największemu, najżywotniejszemu odłamowi narodu, aby wszedł na drogi lojalności względem takiej zwierzchności nieprawej, jak dopiero co opisana. I muszą być serca nasze i umysły, jak liście jesienne, lub jak piekielne Dantowskie cienie, wielkim wichrem gnane, aby mogła się do nich zbliżyć namowa do podobnego spoczęcia. Ach, gdyby się one drzewa żywota trzymały, burza by w nie napróżno biła; napróżnoby je wiatry szarpały.

Nie, my prawa nie mamy kompromisami fałszować duchowej istoty narodu; zmieniać kierunek, jaki on wyniósł z przeszłości; zapoznawać zadanie jego, i tradycję na szwank wystawiać. Nasze układy nie więcej miałyby dla potomstwa wartości od Grodzieńskich; ustępstwa zaś w duchu czynione, byłyby tylko korupcją ducha.

Oportunizm dobry jest w polityce, dopóki nie chodzi o istotę społeczeństwa, o jej ducha, o dziejowy kierunek. Można z wielu rzeczy ustępować kwoli twardej rzeczywistości — nigdy z tych.

Mówią nam o ratowaniu bytu narodowego. — A czyż duch, tradycja, kierunek, nie należą do istoty tego bytu?

Jeżeli jest na świecie polskie społeczeństwo — a któż temu zaprzeczy? — toć do istoty tego społeczeństwa należą warunki bytu narodowego każdego na świecie społeczeństwa. — A zatem należy doń i to, co stanowi węzeł jego naturalny ze współnaturalną jemu zwierzchnością; — więc to mianowicie, że społeczeństwo, póki nie jest rozbitem, rozproszonem, jak Żydzi, (którzy nie są społeczeństwem — lecz sekta) — przysługuje mu prawo natury, wymagające, aby nad niem

panowała władza prawowita, więc społeczeństwu współnaturalna.

Może się władza nieprawowita stać prawowitą, lecz nie inaczej, jak przez to, że zajmie naturalne swe miejsce między Bogiem a społeczeństwem — a miejsce to, jeśli naród jest katolicki, jest w Kościele. Widzimy od lat trzydziestu w Austrii, jak zwierzchność obleka się w prawowitość.

Co innego, jeśli idzie o jakiś skrawek narodu, o jakąś oderwaną część — lecz, gdy idzie o całość, to zbrodnią jest, przeciw temu prawu natury działać, narzucając narodowi, zwłaszcza katolickiemu, władzę obcą, ba, nawet przeciwną jego istocie.

Przez jak głęboki kryzys przechodzi więc nasza myśl narodowa, żeby Polacy, i uczeni, i biegli w polityce nie widzieli, co podają społeczności w swych radach; — bo nie widzą. Proponując mu stosunek szczerzy, lojalny względem zwierzchności nieprawowitej, targają się, nie wiedząc o tem, na prawo natury. Przypuszczają, że pod naciskiem potrzeby politycznej może naród skleić się z »istniejącym porządkiem rzeczy«, w duchu »najpoddanniejszym«, i nazywają z góry »buntem« wszelki możliwy przeciw temu porządkowi opór: — »dalecy jesteśmy, powiadają, od wszelkiej myśli buntu przeciw istniejącemu porządkowi«.

Oni — dalecy! A cóż, jeżeli istniejący porządek zabija społeczność, a ta ma dosyć siły, aby się wyzwolić — lub gdy niema innego ratunku dla wiary, jak uchodzić z nią w puszcze; a dla uchodzących niema ratunku przeciw ścigającym prześladowcom, jak obronny miecz Machabejczyków! Czyż i to będzie buntem? Czy społeczność poszukująca siłą swego prawa jest buntowniczą, gdy bezprawie od tronu idzie?

Nie tak myśli katolicki Kościół. W jego oczach, prawo społeczeństwa do swoich dóbr najwyższych jest nieprzedawnione, niepożyte. W jego oczach, społeczność zupełna, — naród, zwłaszcza katolicki, bo ten ściślej z Bogiem złączony,

ma zawsze prawo do tego, aby jego zwierzchność prowadziła go w kierunku jemu naturalnym, jeśli ten kierunek nie jest zepsuciem, jeśli, zwłaszcza, jest on odpowiednim Woli Bożej co do niego. W oczach Kościoła, ten *consensus communitalis*, jest tak dalece niezbędny dla prawowitości władzy, że *communitas*, społeczność, ma prawo, ma niekiedy obowiązek, zmienić władzę, jeśli temu kierunkowi wyraźnie się sprzeciwia, a jest po temu siła i okoliczności.

Jeżeli więc jest to przez Boga złożone w naturze, że władza jest dla społeczeństwa, a nie społeczeństwo dla władzy — i że, jeśli społeczeństwo jest według Boga, to władza powinna być według społeczeństwa — to jakim czołem może ktoś powiedzieć społeczeństwu — »odtąd będziesz robił przeciwnie«. I to nie zmuszając je, jak robią zdobywcy, lecz tłumacząc mu, że rozum sprzeciwia się prawu natury, i próbując je postawić na kłamstwie, jakoby na prawdzie życia. Czyż fałsz i prawda są rzeczami konwencyonalnymi? Czy też autorowie takich systemów stracili zmysł prawdy? Zdarza się i to między ludźmi.

Lecz nie wiedzą oni, że społeczeństwa, tak podszywane kłamstwem zasadniczym, muszą stracić naturę społeczną. Nie może być, aby społeczność nie przestała być społecznością, to jest zupełnością zbiorową, mającą własne życie i własne centrum tego życia we władzy potencjalnie w niej złożonej, jeżeli ona łamie to, co ją wiąże z tem centrum, i, jak rozbity planeta, wchodzi w krążenie około obcych sobie słońc.

A jakież prawo, jaka cześć i godność pozostaje temu, co się zobowiązał, przeciw naturze, być wiernym i lojalnym względem władzy nieprawowitej? Bo jeśli ten, który prawowitej władzy obiecuje, wie, że jego obowiązek zatrzymuje się tam, gdzie ustaje prawowitość — to jaka granica będzie wiernopoddaństwu tego, co władzy, przez swą naturę, nieprawej — wolnym aktem się oddaje? Ten podkopuje w sobie wszelką możność oparcia

się nawet niesłusznie rozkazującej władzy, i zagwałdzając sumienie, oddaje Cesarzowi, co jest Boskiego.

Tak czynić nie wolno bez pogwałcenia natury, bez podrycia się pod publiczną i prywatną moralność. Kto tak czyni, ten przykładą rękę, — co nam po tem, że o tem nie wie, kiedy wiedzieć powinien,—do zniszczenia społeczeństwa w naturze jego, gdy mu się zdaje, że ratuje jego byt. Prawda i moralność są mściwe.

Aby zaś pokazać, jak dalece Kościół nauką swą broni społeczeństwa ludzkie od gwałtu, absurdów i bezprawii, i razem usprawiedliwić podaną wyżej teorię, przytoczmy kilka miejsc z autorów.

Oto co mówi największe światło Kościoła o władzy nieprawej, i o posłuszeństwie względem niej: »Ten, co gwałtem opanowuje zwierzchność, powiada, nie zostaje dla tego prawym zwierzchnikiem; więc, jeśli się ma dostateczne siły, można go wyrzucić, chyba, że jego władza uprawnioną została później, bądź zezwoleniem poddanych, bądź powagą wyższej władzy«¹⁾. I w innem miejscu: »Chociaż niektórzy od Boga otrzymali zwierzchność, jednak, jeśli jej nadużyli, sprawiedliwym jest, aby jej byli pozbawieni, albowiem obie te rzeczy są od Boga: i zwierzchność i sprawiedliwe jej pozbawienie; podobnie, jak wszyscy ludzie, otrzymują od Boga życie, a jednak niektórzy są go pozbawieni przedwcześnie i sprawiedliwie«²⁾.

»Jeśli władza, mówi, opierając się na tem, Balmes, w gorszący sposób nadużywa swej mocy, przekraczając słuszne granice, depcąc prawa fundamentalne, podkopując moralność, bezczeszcząc honor publiczny, sięgając do czci obywateli; jeżeli żąda kontrybucyi nieprawnych i przeciążających, jeżeli gwałci prawo własności, wyniszcza majątek narodowy, kraj ćwiartuje, siejąc w narodzie śmierć i spo-

1) Św. Tomasz z Akwinu. 2. dist. 44. q. 2. — Widzimy tu lekko dotknięte oba składniki prawowitości: zgoda ze społeczeństwem i zgoda z Bogiem.

2) Id. q. 1. art. 2.

dlenie; — czy i wtedy katolicyzm nakazuje posłuszeństwo? czy zabrania oporu? czy chce, aby poddani spokojnie cierpieli, jak baranek w szponach dzikiego zwierza?... Czy w tak okropnych okolicznościach Kościół katolicki pozostawia ludy bez nadziei, a tyranów bez wędzidła? W tak naglących czasach, nieopieranie się nie jest przepisem dogmatycznym. Nigdy Kościół tego nie nauczał. Święty Tomasz, kardynał Belarmin, Suarez i inni znakomici teologowie, znali dobrze dogmaty, a jednak w pismach swoich inaczej uczyli. — Nie, człowiek, dla tego że jest chrześcijaninem, nie przestaje być obywatelem, i czyni sprawiedliwie i chwalebnie, kiedy, w granicach rozumu i słuszności, bierze się do obrony praw swoich śmiało i odważnie«¹⁾.

Zaś kardynał Belarmin tak odpowiada tym, którzy wojują przykładem uległości pierwszych chrześcijan: »Jeżeli oni nie złożyli ani Nerona, ani Dyoklecjana, ani Juliana Apostaty, ani Walensa Aryanina, ani innych, to dlatego, że siły ku temu nie mieli. Bo niewątpliwie, według Apostoła, mieli prawo«.

Lecz Św. Tomasz, dalej jeszcze idąc, powiada, że »wyrócenie tyrańskiego rządu nie jest rokoszem (*seditio*), chyba, że nieporządek skutkiem tego doszedłby do rozmiarów takich, że naród więcejby zeń miał cierpieć, niż z rządów tyrańskich. Raczej tyrana możnaby nazwać rokoszaniem, skoro swym despotyzmem pobudza do nieporządków i rokoszów«²⁾.

Dalekim jest od nas zamiar bronięcia powstania roku 1863-go. Było ono zbrodnią, bo lekkomyślnie naraziło kraj na straszną repressyę; — na repressyę, w której się waży byt, a dzisiaj już, — widzimy to na sobie, — i duch narodu. Wina jest nie w tem, żeśmy »nie byli politykami, nie przewidywali tego, a tego nie widzieli, tego a tego nie obliczyli —

1) Protest. i Katolicyzm. R. 55 i 56.

2) Summa. 2. 2. q. 42, art. 2.

na to rachując, przerachowali się, nie wierząc szli za innymi, bo to jest rzecz ludzka i we wszystkich przegranych, a nawet w większej części wygranych spraw się powtarza, i do końca świata powtarzać będzie ¹⁾ — lecz wina w tem, żeśmy porządek chrześcijańsko-społeczny dali w sobie do tyła wywrócić, — że przewodnikami narodu stali się poeci, że zapał i serce, wyobraźnia i blaga, a nareszcie kłamstwo na szczycie, zajęły miejsce cnoty, rozumu i prawdy — że w koniecznym następstwie, — starzy ustąpili steru młodym i kobietom — że szczególnie duchowieństwo dało się uwieść tym samym mamidlom, choć powinno było wyżej stać od narodu i utrzymywać czucie z Niebem i według Nieba duch narodu miarkować. Głupstwo sprowadziło klęskę — i zawsze sprowadzi. — Ale nie powinniśmy w taki sposób potępiać powstania, choćby najgłupszego, najsromotniejszego, najzgubniejszego w skutki, abyśmy w tem potępieniu zapomnieli o naturalnych prawach społecznych.

Powstanie niesłuszne i powstanie szalone jest grzechem, to niewątpliwie — ale bywa powstanie słuszne i rozumne, i czasem powstanie może się stać obowiązkiem. »Potrzeba powstawania przeciw zwierzchności nieprawej, pisze kardynał Belarmin, nie może istnieć w porządku moralnym, bez odpowiedniego obowiązku w porządku materialnym. Z natury rzeczy, ten obowiązek ciąży na całej społeczności politycznej, albowiem spełnienie go przechodzi siły jednostki«.

¹⁾ Niedawno czytałem rozprawę o militarynych środkach Napoleona po powrocie z Elby. Nie było żołnierzy dosyć; ani armat, ani broni, ani amunicyi — i pomimo to ambicya jednego człowieka rzuciła Francję na niechybną wojnę z Europą. Marszałkowie przewidywali przegraną, i albo chowali się, albo się łączyli z Napoleonem przeciw oczywistości, którą znali. Było zbrodnią coś podobnego przedsiębrać, ale żeby to szaleństwo wytłómaczyć, żaden Francuz nie spróbował, o ile wiem, szukać innych przyczyn, jak zwykle ludzkie głupstwo, zrozumialsze u nas, niż tam, gdzie rzeczy ważył Napoleon, i mnóstwo mężów stanu i oręza. Od głupstw najlepiej strzeże, nie polityczna zręczność dziennikarzy, ani nawet mężów stanu, ale trochę światła Bożego, przybywającego nam przez soczewkę chrześcijańskiej praktyki życia.

Lecz kiedyż zachodzi potrzeba powstania i kiedy możemy być obowiązani do tego wspólnego wysiłku? To inne pytanie, które nie należy do rzeczy — również, jak to, kto o wyborze tej chwili orzekać będzie. Nie chodzi nam tu o to, aby układać reguły powstań — lecz o to, aby zatwierdzić prawa natury ludzkich społeczeństw, w obec nie liczącego się z nimi oportunistu. Trzebaż było do izby chorego wpuścić nieco świeżego powietrza, i oczyścić ją od miazmów lekarskich eksperymentów. Niech zbłąkany i zachwiany umysł polski otrzeźwi się i przyjdzie raz do równowagi.

Zresztą te same przytoczone przez nas powagi, i Św. Tomasz na ich czele, gdy idzie o zastosowanie tych praw społecznych do życia, bacząc na niebezpieczeństwa i demoralizacye z walki pochodzące, radzą raczej cierpieć, i »znośić wyczekiwania Boże«, niż w zapale ludzkim chwytąć za oręż, nie wiedząc czyli jest czas Boży.

Gdy ten czas przyjdzie, Bóg znajdzie sposób oznajmienia go ludziom. Badając konstytucyę wewnętrzną Bożego Królestwa, zdawałoby się, że przy Sobie decyzyą, co do tego, zachował. Czy nie możemy przypuścić, że równolegle do assistencyi, czyli pomocniczego współdziałania, obiecanej duchowej stronie społeczeństwa odkupionego, ku zapewnieniu mu nieomylnego posiadania prawdy do zbawienia potrzebnej, — zdawałoby się, mówię, że, równolegle, dana jest także assistencya Boża, ziemskiej, doczesnej stronie, i że ta funkcya należy jakoby do prerogatyw Tego, który jest fundamentem jego i członkiem. Nie idzie już tu o nieomylnie zdeterminowanie prawdy, lecz o impuls Woli Bożej, w szczególnych krytycznych chwilach dziejowych. Izrael posiadał, jak wiadomo, nieomylnie, jakoby sakramentalne sposoby poznania tej Woli swego Króla niebieskiego, w ważnych dla niego wypadkach. — My tych środków nie mamy, bo ich nie potrzebujemy, w zwyczajnym porządku rzeczy, skoro mamy widome, przez Ducha Świętego kierowane, Namiestnictwo Chrystusa Pana na ziemi. Jednak,

w chwilach nadzwyczajnych, zdawałoby się, że Bóg, jakby osobiście na ziemię zstępował, by stawać na czele obrońców swojej sprawy. Oswobodzenie Polski od Szwedów, lub Francji od Anglików, zdają się wskazywać na to. A wtedy dzieją się cudy, i broń wypada z rąk Jego wrogów. Wtedy »nie masz dlań różnicy wybawić wielą albo trochę — bo nie w mnóstwie zwycięstwo bitwy, ale z Nieba jest siła«. (I. Mach. 3).

Kiedy te Boże znaki bywają objawiane? — Któż to powie? Ale z pewnością nie okazują się one, póki ludzie nie stoją, w szczerą walce, za sprawę Bożą. Kiedy zaś modlą się ci, co winni modlitwą usuwać przeszkody sprawiedliwości lub porządku naturalnego; kiedy inni nie wazą ani życia, ani mienia dla chwały Boga; — wtedy Bogu droga ku ziemi staje otworem, bo słudzy jego odwalili kamień grzechu. Wtedy wybija godzina wskrzeszeń. Tak, gdy stary Matatyzasz, ojciec Machabejczyków, zdjęty bólem głębokim i świętym, z powodu spustoszenia świętości Bożych i zniszczenia ludu, zawoławszy w obec prześladowcy, iż »lepiej nie żyć niż patrzeć na to obrzydzenie«, szedł z miłośnikami zakonu chwalić prawdziwego Boga na puszczy, — »znosił on wyczekiwania Boże« aż do chwili, gdy zaczęto mordować wiernych, że nie chcieli na Greków się dać przerabiać — ani czić Greckich bogów. A wtedy, dla obrony życia i sumienia, kazał synom chwycić za oręż. I oto okazał się czas Boży. I Bóg dał zwycięstwo, i wybili się na niepodległość, bo szukali jej dla chwały Bożej.

A zatem, wtedy należy liczyć na Boga, kiedy rzeczy przychodzą istotnie do tej miary, że nie masz ratunku dla życia i dla zbawienia, jeno obrona orężem. »Nie wolno chrześcijanom, mówi kardynał Belarmin, znosić panowania króla niewiernego lub heretyka, jeżeli on usiłuje przeciągnąć poddanych swoich na herezyę lub niewiarę, . W takim wypadku on może i powinien być pozbawionym władzy... Gdy prawo ludzkie sprzeciwia się prawu Bożemu, nie można się międzić niemi wahać. Zachowanie zaś prawdziwej wiary jest

z prawa Bożego — mieć tego lub innego panującego jest z prawa ludzkiego«¹⁾).

Ażeby wiedzieć, że panujący chce odebrać wiarę, niema potrzeby dziś czekać, aż każe składać ofiary swoim bogom. Od czasów Juliana Apostaty metody się zmieniły, i Dyoklecjan, nie byłby dziś dobrze widziany, nawet przez wrogów Kościoła. A jednak zło czyni postępy, i walczy z prawdą, zarówno w Stolicy jak na krańcach chrześcijaństwa. Lecz zło największe jest to, że chrześcijanom dziś więcej chodzi o siebie niż o Boga; — i dlatego Bóg w szranki nie zstępuje.

X.

Jeżeli tedy, jak dostatecznie dowiedliśmy, niezbędnymi warunkami prawowitej zwierzchności, tak według ludzkiego rozumu, jak według Pisma i pisarzy kościelnych, są na pierwszym miejscu, zgodność jej z Bogiem, z prawem Bożem dla danego społeczeństwa, przyrodzonym czy pozytywnym, i na drugim miejscu, zgodność ze społeczeństwem samem — to o prawowitości rządu rosyjskiego nad społeczeństwem polskiem, oczywiście nie może być mowy.

A jeśli o prawowitości nie może być mowy, to również, bo jedno zawisło od drugiego i odpowiada mu zupełnie, nie może być mowy o lojalności, o której słyszymy od niejakiego czasu przygrywkę na wszelkie fałszywe tony.

Jest dwie daniny woli, które powładny może składać swojej zwierzchności — posłuszeństwo i wierność. — Wierność więcej obejmuje niż posłuszeństwo — bo to ostatnie może być bez wierności, może być z bojaźni, *propter iram*; lecz kiedy jest z sumienia, *propter conscientiam*, jak to nakazuje Apostoł względem władz prawowitych, gdy według Boga rozkazują, wtedy posłuszeństwo jednoczy się

¹⁾ De Romano Pont. lib. V. cap. 7.

z wiernością. — Lojalność jest tylko świecką, honorową, średniowieczno-feudalną formą wierności. O pierwszych chrześcijanach mówimy, że byli wierni Rzymskim cesarzom; nie możemy powiedzieć, jak o wasalach średniowiecznych, że byli lojalni. Lojalność dodaje do wierności pojęcie zobopólnego związku na czci osobistej opartego. — *Si non, non*, jak mówiły, kończąc swoją przysięgę, fuerosy hiszpańskie. »Dotrzymasz ty — królu — to i my dotrzymamy. A nie, to nie«. — I byłoby, zaiste, dziwnem, gdyby kto związał się i wiernością, i honorem względem kogoś, który ani wiernością, ani honorem nie czułby się związanym.

Otóż z tych dwóch danin woli należy się od nas Rosyi posłuszeństwo, w tem rozumie się, co się zgadza z sumieniem chrześcijanina, które nie może się zgodzić na wykonanie rozkazu, przeciwnego Bożemu prawu. To posłuszeństwo nakazane nam jest roztropnością, i obowiązkiem względem siebie i dobra społeczeństwa — i, w wykonaniu go, należy się wierność temuż obowiązkowi, bo co możemy wykonać sumiennie, a musimy wykonać z powodów rozumnych, to powinniśmy tak wykonać — a więc zupełnie i wiernie. Tu kwestya prawowitości nie wchodzi. Póki rzeczy są, jak są, powinniśmy je uważać za Wolę Bożą, czy to z dopustu; czy to, że z winy naszej, ta wola jeszcze się nie zmieniła; czy że, dla niewiadomych przyczyn, Bóg każe nam czekać chwili stosownej do zwolnienia nas z posterunku, tak, jak wódz na polu bitwy, zostawia oddział jakiś na niebezpiecznem stanowisku, dopóki się obrót innych oddziałów nie ukończy.

Ale, jeżeli wiernie mamy wykonywać rozkazy rządu nieprawego, to nie znaczy, abyśmy mieli obowiązek być mu wiernymi, jak np. byli wiernymi pierwsi chrześcijanie swoim panom. Najprzód, widzieliśmy z Belarmina, że i oni mieli prawo ich strącić z tronu, tylko nie mieli siły — a potem panowanie Cezarów było przyjętem przez całość społeczeństwa rzymskiego, jako prawowita forma zwierzchności. Panowanie Rosyjskich cesarzy nad społeczeństwem

polkiem niema żadnej z tych cech, i powstało nieprawnie, gwałtem, przeciw woli narodu i woli Kościoła, który protestował. Jakże mogą oni od nas wymagać wierności poddańczej, nie zaś wierności, przyjętym przez nas, rozkazom.

Tembardziej co do lojalności. Jaki obowiązek honoru może nas wiązać względem panów nie naszych? Dobrze zrobił autor Rzeczy o r. 63-m, jak twierdzą jego obrońcy, iż nie chciał rozbiierać tego swojego planu »rozwiązania sprawy Polskiej« ze stanowiska sumienia i honoru, bo nie wiem, jakby się z tego wyplątał. Ale, jeżeli ci obrońcy chcą to rozstrzygnąć ze stanowiska sumienia i honoru narodowego, to niech postawią kwestyę, jak należy. Lecz oto, jak oni mówią: »Czy polskie sumienie i polska cześć mogą się zgodzić ze stanowiskiem, które spisków się odrzeka, powstań nie robi, odbudowania Polski nie stawia na swoim politycznym programie, ale mówi, że teraźniejszość... jedynie jest obowiązana do przechowania i wzmocnienia jej bytu narodowego«.

Kto na tak postawione pytanie odpowie inaczej od tego, który je stawia? Z pewnością nikt z rozsądnych, nikt z uczciwych. Ale inaczej wypadnie odpowiedź, jeżeli się postawi pytanie tak: czy polskie sumienie i cześć polska mogą się zgodzić ze stanowiskiem, które nietylko spisków się wyrzeka i t. d. — ale, prócz tego, wyrzeka się wszelkiej nadziei niepodległości — i postanawia Polaków z wiązać lojalnością względem Rosyi i Prus, tak samo, jak względem Austrii; — które przyjmuje ideę państwową Rosyi i Prus, tak dobrze, jak Austrii, za swoją; które z interesem państwowym i zasadą państwową tych mocarstw łączy byt narodowy polski, wraz z jego duchem, dążeniem i zadaniem dziejowem, a raczej już bez tych rzeczy, bo one, w interesie owym państwowym, muszą zginąć jak w morzu; — i to bez względu na naturę naszego społeczeństwa, i prawo jego przyrodzone: — czy polskie sumienie i polska cześć na to się mogą zgodzić?«

Na tak postawione pytanie musimy odpowiedzieć: nie! Powody tej odpowiedzi daliśmy już wyżej.

Gdybyśmy dopuścili, aby się ta rzecz stała, nastąpiłoby takie pokrzywienie pojęć, takie wyschnięcie serc, taki bezład rozbrykanej woli — lecz nie w swawoli już, a w podłości kłamstwa i bezprawia — taka wieża Babel, o jakiej dziś ani śnimy. Wtedy dopiero byłoby, nie rozdarcie, ale rozproszenie duchowe na cztery wiatry, którem groził Skarga. Bo duch publiczny nie może oportunistem polityki się kierować. On politykę zostawia ludziom fachowym — sam zaś stoi na regułach i dogmatach, choćby czasowych — ale na daną dobę, przynajmniej, pewnych. Czyż i jedność duchową mamy stracić i własnowolnie rozrzucić na wsze strony!

Lojalność bowiem członków jednego społeczeństwa względem trzech władców, to nieodzowne rozbitcie społeczeństwa na troje. Niech tam sobie kto myśli, że w tym dopiero stanie »jedność narodu będzie niezwalczoną« — nie jesteśmy znów tak naiwnymi, żebyśmy temu wierzyli. Bo skoro lojalność, jeśli nie kłamana, odpowiada prawowitości władzy, a prawowitość jest owocem zgody, na władzę, i Boga i całego społeczeństwa — to ile lojalności, tyle prawowitości, ile zaś prawowitości, tyle społeczeństw; — a zatem, trzy.

Dla nas, wyznajemy pokornie, że to sensu nie ma, albo, jeśli ma,—to, od upadku Polski, nie było tak śmiałej próby wprowadzenia podziałów do dna duszy narodu.

Albo głowy polskie muszą być na wieki skazane na nielogiczność — albo muszą, od trójgraniastej lojalności, przejść do rozdziału dróg narodu na trzy strony.

O ile myśl Bożą względem nas odgadywać możemy, Bóg inaczej kierował naszymi porozbiorowemi dziejami. Najprzód jedność narodu w dawnych jego granicach uznana została, na kongresie wiedeńskim, przez mocarstwa rozbiorowe, i odpowiednie tej jedności uczyniono tam obietnice Polakom.

System ten autorom jego okazał się prędko niepraktycznym. Autorami byli monarchowie, związani »Świętem przymierzem«, którzy chcieliby byli oprzeć Europę na prawowitości, bez utracenia swych posiadłości. A system ten względem Polski przyjęty, był właśnie, rzecz ciekawa, próba, — i z początku, rzetelną próba, — tego samego, co dla nas dziś p. Koźmian »wynałazł«, Polacy mieli uznać rządy rozbiorowe za prawowite, i stać się dla nich lojalnymi, każdy w swojej dzielnicy. Za to, przyznano Polsce, że ma jeden byt narodowy; tylko nie miano go za niezwalczony, skoro zaraz w Austrii i Prusach zaczęto z nim walkę.

A dlatego właśnie zaczęto, że się okazało niebawem, że Polacy są jednym narodem, który zaczął, choć rozdarty, żyć przez swoje serce, Warszawę, i żyć tem, co się tam działo. Tam bowiem, widocznie, Bóg sam kierował sercem Aleksandra ku założeniu kamienia węgielnego nowej, prawdziwej, prawowitości, bo jednej dla całego społeczeństwa. Cele Chrystusowe są niezienne i On zawsze dąży do złączenia owieczek swych pod jednym Pasterzem. Czego Batory i Zygmunt nie potrafili, to mogło się stać pod dynastją carów. Konieczność polityczna, zręczność Aleksandra, i, nareszcie, niewątpliwie, tajemne jakieś działanie Boże na ludzi, ułatwiały zbliżenie. Gdyby Aleksander był wytrwał w traktowaniu nas jako naród historyczny, i naprawił był zbrodnię rozbioru, byłaby się może wytworzyła prawowitość rządu, a z nią posunięcie na Wschód zasady Unii narodów, wzmocnionej kiedyś, może, Unią kościelną.

Lecz fanatycy obu narodów przeszkodzili. Rewolucyjny duch gwałtu w spiskowcach polskich, i w czcicielach siły rosyjskich, nie dopuścił, aby się utworzyła na Wschodzie Europy regulująca świat katolicka federacja dwóch narodów, mająca, niewątpliwie, w wyrokach Bożych, tamę położyć Rewolucyi. Antagonizm z katolicyzmem prawosławnego ducha zaczął się budzić, i stawać się duchem publicznym Rosyi, — a ginąć zaczął zasiew prawowitości i lo-

jalności, mający, w głębi naszej skołatanej nawy, utworzyć balast, przyjętej przez Boga i przez naród, współnaturalnej narodowi zwierzchności. Panowanie carów, łącząc się ze złym kierunkiem ducha rosyjskiego, z samowiedzą przyjmowało charakter gwałtu i nieprawości, z jakim wyszło było z 18-go wieku.

Nareszcie powstanie 31-go roku, zemsta Mikołaja, powstanie 63-go roku, i zemsta za nie narodu rosyjskiego, przynajmniej tej jego urzędowej części, dochodząca czasami do zenitu w panowaniu Aleksandra III-go; zemsta, wyprawiająca na scenę naród carski w roli Panującego nad Polską — a niemasz większego nieszczęścia jak panowanie narodu nad narodem — zemsta bez miary, ni końca: — oto co do szczętu zniweczyło nie tylko założone przez Aleksandra I-go początki prawowitości, ale wszelką możliwość odnowienia tej roboty.

Sumienia Polaków są przeto wolne z tej strony, i wolnemi pozostaną, choćby ich do nie wiem jakich zobowiązań się zmuszano, boby te ich zobowiązania się nie były godziwe i ważne.

Jakże bowiem poznać charakter »sługi Bożego ludziom ku dobremu« w zwierzchności, w której się odzwierciadlają wszystkie cechy nieprawego rządu, któreśmy z Balmesa przytoczyli. »Jeżeli, mówi on, władza ku zgorszeniu nadużywa swej mocy, przekraczając granice słuszności, depczą prawa fundamentalne, podkopując moralność, bezczeszcząc honor publiczny, sięgając do czci obywateli; jeżeli żąda kontrybucyi nieprawnych i przeciążających, jeżeli gwałci prawo własności, wyniszcza majątek narodowy, kraj ćwiartuje, siejąc w narodzie śmierć i spodlenie — czy i wtedy katolicyzm nakazuje posłuszeństwo tym, którzy mieliby środki pozbycia się tej władzy?« »Nie, odpowiada Belarmin, gdy panujący usiłuje poddanych przeciągnąć na herezyę lub niewierność Bogu, on może i powinien być władzy swej pozbawiony«. Prawo Boże góruje nad ludzkim! Cóż tu mówić o prawowitości i, w parze z nią idącej, wierności

i lojalności, wobec takich władz, które sprawie Bożej na ziemi, Kościołowi, wydały wojnę na noże!

Do posłuszeństwa obowiązani jesteśmy, w tym razie, tylko tyle, ile każe wzgląd na bezpieczeństwo tejże sprawy Bożej, więc na życie katolickiego społeczeństwa — nic więcej.

Próba połączenia dwu narodów pod prawowitem berłem Aleksandra I-go się nie udała. Z czyjej winy? I z naszej i z Aleksandra winy — najbardziej jednak z winy Rosyjskich patryotów, których Karamzin uczył dziejów według programu Katarzyny. Już oni z tego kierunku się nie zawrócili, i nie zawrócą, aż dojdą do klęsk. Czasy Aleksandra nie były już czasami Jagiełły ani Jadwigi! Nas mamili sojusz z Rewolucją — ich sfałszowały wieki fanatyzmu i zabobonu, przeplecione ateizmem 18-go wieku. Próba się nie udała, i za Wielopolskiego czasów, prawdopodobnie, nie byłaby się udała: — już wtedy była spóźniona. Cóż dopiero dziś!

XI.

W tym samym czasie, kiedy, w krwawej łunie, tonęły próby wytworzenia stosunku prawowitości między Rosją i Polską, z innej krwawej jutrzemki podnosiły się one w Austrii. Dwa pogromy wojenne, we Włoszech i w Czechach, o siedm lat od siebie odległe, stały się, jeden podbudką do zmiany kierunku u podstaw tego Państwa, drugi ostatecznym tej zmiany zatwierdzeniem.

Wyparta gwałtem ze swej tradycyjnej polityki względem Włoch i Niemiec, a więc względem Zachodu, dynastia Habsburgów znalazła się w roku 1866 w takim położeniu, że jeżeli mogła mieć zadanie zewąętrzne, — bez którego wielkość państwa nie może się utrzymać, — to tylko od strony Wschodu i Słowiańszczyzny. Tem samem postawioną ona została w podwójnym antagonizmie z Rosją: politycznym i rasowym.

Zrozumieli to Polacy. Sejm galicyjski pod wpływem Potockich i Gołuchowskiego wyrzekł do Cesarza w roku 1866 pamiętne słowo: »Przy Tobie stoimy i stać chcemy«. Jak sejm, tak potem i cały naród polski zrozumiał, że te słowa padły w imieniu całego narodu. Napróżno dziś się na zaprzeczenie temu, chcąc to słowo zredukować do polityki mniejszego, jak mówią, stylu. Lecz mężowie, którzy wówczas ten program stawiali, zrozumieli, że odtąd nie ma już zasadniczych różnic w kierunku Austrii, a tem, co było wiekiem Polski względem Wschodu zadaniem. Zrobili ofiarę ze słusznych swych bólów i żalów — i lojalność obiecali dynastyi Habsburgów, wierność, bez opuszczenia narodowego stanowiska, dążenia i tradycyi.

Wtedy odnowiło się w Austrii, co w Rosyi, głównie z jej winy, zmarnowanym zostało; z jej winy, bo, mając po temu siłę, monarchowie jej nie chcieli być ojcami naszego narodu. Zaczęła się tedy wspólna praca monarchy i narodu nad wytworzeniem stosunku prawowitości między dwiema stronami, i Bóg pobłogosławił temu, dając długie, i odtąd spokojne panowanie Cesarzowi Franciszkowi Józefowi. Przez lat trzydzieści wytrwałej pracy wzmacniała się robota, która wiotką była na początku. Prawda, że pierwaj musiały być nieszczęściem złamane duch germanizatorski i centralistyczny austriackiego rządu, i nasze złudzenia.

I tak zawarty został, i wzmocnił się, sojusz między narodem polskim, a monarchią Habsburgów. A mógł się wzmocnić, bo fundament obu stron był taki sam w Kościele katolickim; bo dążenia i zadania okazały się te same w Austrii po jej odwróceniu od Zachodu, jakie były i nasze od chwili naszego zwrócenia się ku Wschodowi. Tak jest, w myśli tych, którzy wówczas ten sojusz zawierali, te a nie inne, były przyczyny zawarcia go, a tylko ułatwiony on został i naszymi i Austrii kłękami. Tu się odbywa teraz, za Mikołaja w Rosyi przerwany, proces zrastania się narodu z zwierzchnością jego naturze odpowiednią, tak ważny dla życia, jakby było odrastanie ściętej z ciała

głowy — proces ukojenia skołatanego, społeczeństwa, przez wypełnienie w niem, najprzód, warunku życia przyrodzonego społeczeństw, które wymaga, aby każda jedność organiczna miała swoje własne organiczne ognisko życia; potem przez przywrócenie go do stanu, w którym ziścić się nad nim może Boża myśl jego przeznaczenia. Sojusz to żywotny dynastyi Habsburgów z Polską i z Rosją — i zawiść Rosyi dowodzi, że ona to rozumie.

Gdyby za Aleksandra I-go dokonana się była podobna praca między Polską a Rosją — a mogło się to stać, jak Aleksander sam uznawał, tylko przez dynastyczne złączenie obu krajów, w warunkach równości, więc przez uznanie sromotnie pogwałconych praw historycznych zachodniego ogniska, jednoczącego Ruś w Polsce według tradycyi Jagiellońskiej, nie zaś przez ustępstwa narodowościowym i prawosławnym rekryminacyom Karamzina — wtedy, koniecznie, Kościół wschodni byłby się wyrzekł swoich pretensyi państwowych; — i kiedyś, przy ciepłe wolności, nastąpiłoby połączenie Kościołów. Wtedy Rosya, połączona z Polską, Litwą i Rusią, — powtarzamy to, bo jest to naszym przekonaniem — byłaby wobec Rewolucyi odegrała rolę nowego państwa Karolowego lub Konstantynowego. Zamiast tej wielkiej światowej roli, Rosya spróbowała ująć w swe ręce sztandar prawowitości, uszyty na kongresie wiedeńskim, zmuszona była wypuścić go z ręki, bo, czynami swemi, zadając kłam zasadom, stawała w obozie Rewolucyi.

Wówczas zadanie dziejowe Polski byłoby spełnionem. Teraz stoi ono, na nowo, w tem stadyum, w jakim stało za Zygmunta i Batorego — nie wypuszczone z omdlałej ręki, ale niepewne przyszłości. Polska zamiast, żeby, wspólnie ze Słowiańszczyzną, być narzędziem Bożem przeciw grożącemu Europie odchrześcijanieniu i przewrotowi społecznemu — dziś, w połączeniu z Austryą, oblana dokoła powodzią niewiary i Rewolucyi, sama nią napojona — musi, jak niegdyś, zwracać się ostrzem przeciw Wschodowi. Roz-

biory, a więcej jeszcze, nie udanie się jedynej i nie mogącej się powtórzyć próby Aleksandra I-go, cofnęły dzieje o trzy wieki.

Wobec takiego obrotu rzeczy, dziś przyjąć do Cara, i — nie w imieniu już narodu, szukającego swej jednej, centralnej, prawowitej władzy, lecz w imieniu mieszkańców Królestwa, bez względu na inne części Polski, bez względu na pakt, zawiązany między narodem a Monarchią Habsburgów, — powiedzieć mu: »przy tobie stoimy i stać chcemy; twoją myśl państwową, światowładną w imię schyzmy, której ty jesteś głową, za swoją przyjmujemy« — to będzie albo kłamstwem, poniżeniem i sfalszowaniem charakteru narodowego — albo własnoręcznym pchnięciem rozbiorowego noża »*usque ad divisionem spiritus et animae*«.

Dziwnym rozumowaniem dowodzą nam, że co jest dobrem dla jednej dzielnicy kraju, musi być dobrem dla drugiej. Zapominają tylko o tej regule, że jeżeli dwóch czyni to samo, nie jest to przecież to samo. *Si duo faciunt idem, non est idem*.

Można tu zastosować słowa samego autora tego systemu politycznego, nie żeby miały wyrażać prawdę moralną — zanańto bowiem niezależnie od moralności są napisane — ale jako argument *ad hominem*. »Złemi środkami (a mowa jest o kłamstwie) dopomódz można rozumnym przedsięwzięciom, bezrozumnych zaś nie zbawia się niemi, tylko pozostaje upokarzające wspomnienie ich użycia«. (Rzecz o roku 1863, II. 76).

Żaden naród nie zna sztuczek dyplomacyi; i krętymi ścieżkami duch jego nie chodzi bezkarnie. Chcieć, aby on szedł pod hasłami, choćby tylko niejasnemi, a nie sfalszował w sobie ducha, to utopia. Ogół w nie uwierzy, i przetłumaczy je na język zrozumiały — a gdy one kłamią jego istocie; i on, dla polityki, zacznie kłamać sobie — to przepadła moralność publiczna. Ale cóż tu mówić o tem z ludźmi, którzy mają pretensyę politykę »ściśle obliczać«, jak nie-

gdys Gambetta prawil z balkonów o »sycntyficznych granicach« Francyi!

Gdybyż te »próby rozstroju« sprawy polskiej, przez nastroszenie jej do jednego z Rosyą akordu, wychodziły od tych, którzy najwięcej cierpią! Od tych dręczonych, za wiare przesładowanych, rozganianych na cztery wiatry, chleba pozbawianych, z ojczystej chaty wyzuwanych, od żon i dziatwy przemocą oddzielanych! Ale ci wytrzymują i poddają się, jak należy, sile faktów, uginając się jak trzcina pod wichrem. Wytrzymać zaś nie mogą tacy, którym niedość jest cierpliwie znosić, ale chcieliby coś za życia zrobić. Zarzucają innym, że bezprawnie ryzykują co nie ich jest, mówiąc, że »gorzej być nie może« — a to samo czynią, biorąc się lekkomyślnie do rozplątania węzła, jak tamci się brali do przecięcia go.

Nie pamiętam dobrze kto ze Stańczyków — lecz bodaj czy nie ten sam, którego pomysły, odnowione z roku 1815-go, nas tu zajmują — lat kilka temu, pisząc przeciw pewnemu wystąpieniu profesora Bobrzyńskiego, powiedział o swem stronnictwie te trafne słowa, które mi utkwiły w pamięci: »my, przedewszystkiem, jesteśmy t a k t y k ą«. W istocie to, co w Stańczykach wychodzi z ram »taktyki«, to już jest zwykłym konserwatyzmem. Trzymać się karności, porządku, miary, trzeźwości, a nawet, nie powstawać z bronią w rękę; — otaczać tron, zajmować posady, miejsca, zawsze bronić rządu, wspierać się wzajemnie, działać jawnie; — to wszystko nie są właściwie zasady, tylko to jest metoda, sposobem działania, sposobem stosowania zasad. Tem wszystkim mogą się kierować masoni, rewolucyoniści i katolicy. Stańczycy są »taktyką« przedewszystkiem.

Powiedziałem, że mogą tem się kierować katolicy, ale nie bez zastrzeżenia — bo nie mogą ani taktyki stawiać na miejscu zasady — ani pozwolić, aby zasady ustępowały taktyce. We Włoszech np., gdyby byli Stańczycy, chcieliby otaczać Rząd istniejący, przeciw woli wyraźnej Papiestwa — i znajdują się tam tacy. Ograniczając się na samej taktyce,

stronnictwa narażają się na niebezpieczeństwo zwyrodnienia, stania się manierą, jak, według słusznej uwagi czyjejs, stali się liberałowie wiedeńscy. Nie uniknęli go także założyciele jedności włoskiej, o których niedawno tak trafnie napisano: »Byli czołem narodu, lecz zwycięstwo zrobiło z nich koteryą... Chcą narzucać swoją doktrynę, kształty swych własnych mózgów, i zastarzałość swych myśli młodszym »politykiem«, marzącym o ich dziedzictwie. Tak się ukształca i wkorzenia oligarchia, której specjalnością jest prowadzenie Państwa, której personal się odmładza, podczas gdy jej pojęcia się starzeją, której wartość intelektualna nie rośnie, gdy jej wartość moralna upada.« (*Revue d. d. M.* 15 Oct. 1895).

Zapewne byłoby sądem zbyt surowym te słowa w zupełności stosować u nas; jednak niebezpieczeństwo zostania »kościółkiem« grozi naszym Stańczykom. Niekiedy rzucają oni »ekskomuniki«, w imię naturalnie, innych zasad, niż kościelne; mają też swoje reguły i miary i sposoby sądzenia ludzi i rzeczy — niezależne od kościelnej moralności i kościelnych praktyk. Ślady tego widać w książce p. Koźmiana. Wytwarza się tym sposobem jakaś cywilną moralność — moralność odpowiednią dogmatom politycznego patriotyzmu. Zdawałoby się, że, i bez tego, jest u nas dosyć zamieszania w pojęciach.

Takie szkoły »taktyczne« trwają dopóki trwa wojna. Ich niebezpieczeństwo zaczyna się z nastaniem pokoju. Wtedy trzeba z taktyki przejść do zasady — i na tej to mieliżnie, bodaj czy nie osiadła szkoła Stańczyków. W takim razie wysiłek jej twórcy, aby ją wzbogacić ideałem, sięgającym po za granice Galicyi, byłby zrozumiałym.

XII.

A zatem czekać.

Ale czy tylko czekać? Czy nie możemy już tyle przez mgłę przejrzeć, aby wiedzieć, z której strony leży droga

do obiecanej ziemi? Czy nie możemy, widząc ją, zamiast stać na miejscu po nocy, broń do nogi, zacząć po niej powoli stąpać, by zadość uczynić tej potrzebie wiedzenia i działania, od której naród się nie wstrzymuje, — albo z niebezpieczeństwem się wstrzymuje?

Otóż tak nie jest. Z wysokości, na którą Kościół podnosi ziemską ojczyznę, można czegoś dojrzeć w przyszłości; można poznać kierunek, i, w tym kierunku, można i trzeba zacząć iść pod wodzą Bożą. Spróbujmy na to rzucić nieco światła.

Zaznaczmy przedewszystkiem obecne położenie nasze w Europie.

Sprawą europejską być nie przestaliśmy, chyba o tyle, o ile nie ma innych spraw europejskich, jak te, które dyplomaci chcą na razie podnieść. Wszakże od przemazania traktatu wiedeńskiego przez Napoleona III-go i postawienia siły przed prawem przez Bismarka, faktem jest, że nie mamy dziś żadnej, aktualnem prawem traktatowem, zabezpieczonej pozycji. Przytem stan posiadania, któryśmy mieli przed ostatniem powstaniem, silnie zachwiany został skutkami tegoż powstania.

W ostatnim rezultacie, stoimy dziś tak, że z naszym historycznem prawem nie mamy do kogo się odezwać, bo nikt go już nie uznaje. Powstają nawet w samym łonie dawnej Polski żywioły narodowościowe, nie chcące go uznawać. Wszystko, co jeszcze się przedtem tradycją trzymało, w obec osłabienia naszego społecznego, zaczyna chcieć własnem, nie polskiem już żyć życiem, i nie mamy siły innej, jak moralna, żeby tego rozkładu nie dopuścić. Z ciała społecznego, opartego na prawie historycznem, staliśmy się żywiołem, niezdeterminowanym ani co do granic, ani nawet co do wewnętrznego składu i spójności, żywiołem mogącym zaledwie apelować do prawa natury. Mówię: zaledwie, bo i tego nam przyznać nie chcą. Tak dalece świat, — ten sam, który chciał, w rewolucyjnych zasadach, wszystko wyprowadzić z natury, wziętej niezawisłe od jej

Stwórcy, — przestał rozumieć i zgadzać się na to, co jest właściwie prawem natury.

Wszakże nie mamy innego stanowiska, któreby ludzie uznawali. I dlatego, — przechowując w głębi duszy prawo nasze historyczne co do esencji jego, nie co do form i przypadłości, t. j. co do istoty tego ciała politycznego, którem byliśmy i co do jego ducha i kierunku, — powinniśmy śmiało stanąć na gruncie, którego nam nikt odjąć nie może, jakkolwiekby usiłował — i na niem się wzmocnić. Nie oglądać się więc nam na nikogo, ani od niczyjej łaski niczego nie oczekiwać, tylko zabrać się do przebudowy naszej społecznej na gruncie Kościelnym, i, ile możemy, nie opuszczać pracy naszej na zewnątrz, będącej naszą racją bytu przed dziejami i przed Bogiem.

Żyjemy, i aby żyć, trzeba nam bardzo się strzedz o zachowanie odrębności naszego narodowego ja — aby nie złało się z żadnem innym. Zachowując życie i życie odrębne, jesteśmy żywiołem przyszłości, którego kształty i granice będą zależały od tego, gdzie on duchowo sięgnie. Polska będzie tam, gdzie się będącą, duchem swym okaże. Opierać się więc na traktatach, i rewindykować obietnice, czy przywileje, których ich dawcy nie uznają — jest rzeczą próżną. — Do uznania zaś prawa natury można zawsze ludzi zmusić; — a jeśli nie, to do wstydu.

Charakter ów »żywołu«, siły na przyszłość, niczem lepiej się nie ujawnia, jak stanowiskiem naszym w Austrii, gdzieby nam chętnie przyznano historyczne prawa, gdybyśmy je w Austrii posiadali. Ale nasze historyczne prawo nie zmieści się w Cislitawii — więc patrzą tu na nas jako na coś trzeciego w monarchii, ale to nieokreślenie najlepiej przedstawia dzisiejszy nasz kierunek ku przyszłości.

Stojąc tak, na prawie natury, w obec świata, który stanął na gwałcie, my, w istocie, przedstawiamy to prawo, i dlatego powinniśmy na tem stanowisku się wzmocnić, jako żywioł społeczny — bo wtedy dopiero będziemy mogli przynieść Słowiańszczyźnie to, czego jej brak: społeczne

urządzenie. I datęgo trzeba nam, mocniej niż ktokolwiek inny, przejąć się duchem katolickiego Kościoła. Bo gdzie-indziej niemasz ani wiązania, ani kleju społecznego. Nietylko więc trzeba nam być katolikami dla potrzeby *propter necessitatem*, jak mówi Św. Paweł, ale i dla sumienia: *propter conscientiam* — bo dopiero wtedy będziemy żywymi katolikami.

Trzeba więc wszędzie, gdzie Polska jest, czy duchem, czy językiem, bronić bytu narodu; lecz ta obrona nie wymaga, abyśmy gdziekolwiek więcej obiecywali lojalności, niż dotrzymać nam wolno, i niż nam wiary dadzą. Napróźnobyśmy w Rosyi i Prusiech usiłowali uchodzić za »lojalnych« i błagonadieżnych. Nie drażnić, do dobrego nie przeszkadzać,—owszem, pomagać, ile to nam wolno czynić,—to dobrze, — ale dalej, nie. Z doświadczeń nabytych korzystajmy.

Powtóre, ten »żywiół przyszłości«, którym jesteśmy, należy duchem i dziejami do Zachodu. Jeograficznie należy on do Środkowej Europy, a dziś, i politycznie także. Długo mylnie liczyliśmy na przyjaźń francuzką. Dziś możemy uważać za postęp, że złudzenia zostały rozwiane. Dość nam będzie, jeżeli katolicy francuzcy będą z nami, a muszą być coraz więcej, w miarę rozwiewania się ich złudzeń co do Rosyi; i w miarę, jak podstawa społeczna katolicka będzie się tam, i u nas, rozszerzać, wzmacniać. Sojusz Francyi z Rosyą jest dalszym ciągiem jej tradycyjnej polityki, szukającej zawsze silnych przyjaciół poza plecami sąsiada. Dziś, gdy ten stał się potężnym, polityka ta jest koniecznością. Francyi objektywą jest zgniecenie Niemiec — Rosyi uśmiecha się przynajmniej ich osłabienie, a za to pragnie ona zgniecenia Austrii. To rzeczy wiadome.

Co do nas, będących między Rosyą a Niemcami, musimy, nie wybierać między niemi, ale sprawdzić do czego nas fakta zmuszają. Od zniknięcia Mieroslawskiego niema już u nas komu wojować na kilku frontach jednocześnie. — Z drugiej strony, ten naród, będący narodem, bo żyje je-

dnem tchnieniem ducha, wiejącym z przeszłości w przyszłość; — narodem katolickim, bo tem tchnieniem jest Duch Święty; — żywołem zaś przyszłości, bo jest podobny do starej nawy, do warsztatów zwróconej, i rozłożonej na części, aby była ku nowej żegludze przerobioną, — ten naród, zwrócony jest swem tchnieniem ku schyzmatyckiemu Wschodowi. Jest to fakt wyływający z przeszłości, z terażniejszości i z istoty Polskiego narodu.

Stąd wynika konieczność ścisłego sojuszu tego narodu ze środkową Europą, t. j. z Austryą i Niemcami. Te dwie potęgi staną mu się plecami, a on, jeśli tylko będzie jednością i siłą społeczną, będzie dla nich pożądanym nabytkiem. Trzeba ku temu, aby się znalazł sposób taki, — i nie jest to niemożliwym, Szląsk tu za dowód służyć może, — iżby jego przyszłość nie była groźbą dla Prus, ani istnienie Prus nie było groźbą dla narodowości ich polskich poddanych.

Nie jest to niepodobieństwem, jak było niepodobieństwem niegdyś. Jedność niemiecka, groźby socjalizmu, i siła moralna katolików niemieckich, coraz więcej będą rozkładać specyficznego ducha pruskiego. W Wielkopolsce zaś, lud będzie coraz silniejszy — tak, że krótko mówiąc, można uważać ten kraj, jakby summą depozytową, w urzędzie złożoną, której długo tknąć nie będzie można, może nigdy. — Zależec to będzie od przebiegu procesu — co się z nią stanie. Dość, że tam sprawa nie toczy się o Polskę, lecz o pewne pogranicze jakiejś możliwej Polski; a takich pograniczy losy są zmienne? W każdym razie, jeżeli tam jest miejsce na spokojny, prosty i szczery stosunek z rządem, — co głównie od niego zależy, — to niema miejsca na utworzenie nowej Galicyi i nie powinniśmy ku temu zmierzać, — właśnie dla tego, aby mieć zabezpieczone tyły od strony Niemiec.

A słowa tego niech nikt nie bierze za odgłos surmy wojennej. Albo, jeśli to kto woli — to idzie tu o wojnę, ale o wojnę duchową, dla skutecznego prowadzenia której trzeba, aby naród w jednym kierunku siły swe wyprężył;

aby Galicya była mu podstawą operacyjną, a Poznań od flanku zasłaniał walczących.

O jakąż to wojnę idzie? Idzie o zdobycie Rosyi dla prawdy i dla chrześcijańskiego społecznego prawa.

Tak jest. Od ślubu Jadwigi z Jagiełłą zwróceni jesteśmy frontem ku Wschodowi, weszliśmy w świat Słowiańszczyzny wschodniej z pochodnią w rękę, — nie wojny, nie pożogi, — lecz światła. Kiedyś przyjdzie do tego, że na Wawelu, wysoko nad miastem, a u stóp komnat Jadwigi stanie posąg godny tej wielkiej, czystej postaci. Będzie zwrócony ku Wschodowi, z krzyżem i z kościelną pochodnią w rękę. Stanie się to, kiedy zrozumiemy, że Bóg nią kierował dla wolności Kościoła Wschodniego, jak dla wolności Zachodniego, w tym samym czasie, kierował sercem Brygidy Szwedzkiej i Katarzyny Seneńskiej. Z Jadwigi serca wystrzeliła, jak różczka kwitnąca, myśl przewodnia narodu, myśl ożywcza. Jej to ramieniem Piastowie umierający pasowali naród na rycerza i pchnęli go ku wschodzącemu słońcu. Czy Jadwiga to jasno widziała? O to mniejsza. Narzędzia Boże nie zawsze rozumieją to, do czego są użyte.

Myśl ożywcza jakiegoś narodu, to iskra z niebios, która duch jego zapala. Nie ona jest duchem, ale ona go zapala, aby odtąd on, nie tylko żył, ale służył. Ta iskra nie gaśnie nawet, gdy ten naród straci byt niepodległy; i nie odzyskanie tego bytu powinno mu być »najwyższym celem«, ale spełnianie tego, do czego on iskrami niebieską został zapalony. Bo naród chrześcijański nie jest »sam dla siebie celem«, ale ma cel wyższy, do którego niepodległość sama jest środkiem, jak środkiem może być nadzwyczajnym, czasowym, zawieszenie niepodległości. Widzimy to w historii Izraela, która jest, niewątpliwie, prototypem dziejów Kościoła i narodów chrześcijańskich. Izrael miał zadanie pierwszorzędne w spełnieniu myśli Królestwa Bożego; i dlatego zadania przechodził przez niewolę Egipską, i panowanie Salomona, i znowu niewolę, i znowu niepodległość, i nareszcie przez panowanie Rzymskie.

Tak dalece jest to prawdą, że ani byt własny, ani niepodległość, która jest kształtem bytu, jest dla narodów chrześcijańskich celem najwyższym, myślą ożywczą — i tylko utrata zmysłu chrześcijańskiego może w tym zmylić — że, nawet dla rewolucjonisty, Polska niepodległa jest bez wartości, jeżeli nie ma być narzędziem wszechświatowej rewolucyi. Równie i my, chrześcijanie, wolimy nie widzieć Ojczyzny wolnej, niż ją widzieć bezbożną, nieprzyjaciółką Kościoła, bez innej myśli przewodniej, jak wyzyskiwanie drugich dla siebie. Jak człowiek nie może być sam dla siebie celem, bez zdziczenia z egoizmu i niemoralności; tak naród nie może, bez zatracenia wszelkiej wyższej myśli, i pierwiastku duchowego i moralnego, widzieć całości swego zadania we własnym istnieniu. Jest to czyste pogaństwo. Kto to twierdzi, daje smutne o sobie świadectwo. W każdym razie, nie godzi się tego podawać ludziom, jako formułę katolickiego systemu myślenia.

XIII.

Polski zadaniem w rozwijaniu Królestwa Bożego na ziemi jest, jak się już powiedziało, przywiedzenie Wschodniej Słowiańszczyzny do jedności z Kościołem.

Do tego potrzebną nam była siła państwowa, nie aby zmuszać Ruś do Unii — tego nigdy Polska nie robiła, — ale, aby zasłaniać Ruś od pokusy i jarzma upaństwowionego Kościoła. Pokusą jest ten stan, bo nęci wielkością, mocą i uwielbieniem siebie, jako społeczności świętej, jedynie Bożej. Dla ochrony Izraela od tej pokusy, kiedy ten naród, sam jeden, był Kościołem, Bóg przez długi czas nie zezwalał na formę w nim monarchiczną; a gdy ją dał, nawet, z całą chwałą Salomona, bronił go od pokusy wielkości państwowej. Gdyby za Salomona Izrael był wielkiem, rozległym państwem, — zamiast czcić Boga, — koniecznie, widząc

w sobie identyczność z Kościołem, wpadłby w cześć bałwochwalczą dla siebie, jako dla społeczności świętej. Być wielkiem państwem, było przecie marzeniem tego ludu, i jak marzenie to przeszkodziło mu do zrozumienia Chrystusa, tak przeszkadza narodom i obecnie. Poczucie siły nadyma. Pycha nie jest drogą do Królestwa Bożego.

Proroctwo Daniela mówi o czterech uniwersalnych monarchiach i o piątej, monarchii duchowej, Chrystusowej, która zniszczywszy ostatnią z nich, imperyum Rzymskie, zajęła, w końcu, jego miejsce i całą ziemię pokryła.

Monarchia Chrystusowa, Kościół, wyklucza Państwo uniwersalne. Błąd Żydów był właśnie w tem, że idąc za swoją narodową tradycją rozumieli, że te dwie rzeczy w ich narodzie będą mogły się pogodzić. Otóż Rosya, dziedziczka, w tem, pojęć Bizantyńskich, jest, jedyna na świecie w tem położeniu że w niej, to co według niej, jest prawdziwym, uniwersalnym Kościołem, granicami swemi prawie pokrywa kolosalną monarchię, dalej jeszcze rosnącą, by pochłaniać, ludy za ludami, w łono tego swego Kościoła-Państwa.

W takich warunkach, niewola Kościoła Bożego jest nieuniknioną. Jeżeli, w innych krajach, każdy potężniejszy władca ma sobie za pierwszy obowiązek względem Państwa, aby ujarzmić Kościół, oddzieliwszy go od Rzymu, — to cóż dopiero w kraju, gdzie wpływ Rzymu jest żaden, i gdzie w oczach monarchy i ludu, Kościół mieści się, cały, w Państwie!

Taki stan rzeczy, przez naturę swoją, jest jarzmem nałożonem na Boga i na dusze, przeszkadzającym zetknięciu się ich z sobą, a zwracającym człowieka, w sferze religii, na zewnątrz, ku wspaniałości ceremonii kościelnych; stawiającem kwestye obrzędowe na pierwszym miejscu; wysuwającem na przód modlitwę za cara i obowiązki względem Państwa, mieszącem porządek duchowny ze świeckim, pojęcie Kościoła z pojęciem Państwa, miłość pierwszego z miłością drugiego. A gdy Państwo wygląda na dorównaną (*adaequata*) postać Kościoła, i ma z nim jedną

najwyższą władzę, to, z takiego stanu rzeczy, koniecznie, musi wynikać w ludziach takie zidentyfikowanie siebie samych, społecznie uważanych, z Kościołem Bożym; taki fanatyzm dla Ojczyzny będącej całością Królestwa Bożego, i do której się stosują zatem wszystkie obietnice dane Kościołowi przez Boga; — że nie było i nie ma doskonalszego ziszczenia ideału państwowo-społecznego czy pogańskiego, czy Mesyańskiego, według żydowskich pojęć.

W takich warunkach pierwiastek chrześcijański nie może się nie wykrzywić, i ilość sekt rosyjskich o tem świadczy. Skutki tego wykrzywienia są indywidualne i społeczne. W duszach niweczą one potrzebę zależności od nauczającego i kierującego duszami Kościoła. Inteligentniejsze, między niemi, popychają ku protestanckiej zasadzie prowadzenia siebie samych — i, jak fakta świadczą, przygotowują je dla protestantyzmu. W społecznym kierunku wymagają te pojęcia utrzymania ładu siłą — policją, przywilejami, a zatem, chronieniem ich od prozelityzmu innych wyznań — przez prześladowanie. A to uniemożliwia prawdziwy postęp cywilizacji, bo wolność religijna jest przecie fundamentem wszelkich innych wolności. Albo, jeżeli w takim kraju będzie postęp społeczny, to ograniczony do jednej tylko klasy mieszkańców, do prawosławnych, jak było w Angli przed emancypacją katolików — i znowu mamy typ pogański państwa, w którym jedna rządząca kasta wysysa i wyzyskuje narody przez siebie podbite — albo, znowu, typ, o którym marzyli Żydzi dla monarchii Messyaszowej, którego cechą jest właśnie to, że instytucja niebieska Kościoła musi przedziergać się w instytucję ziemską, na korzyść i chwałę jednej rasy.

W tem leży istota, nie tyle błędu, ile obłędu sprawionego w pojęciach przez schyzmę. Towarzyszy ten obłęd, koniecznie, dążeniom do uniwersalnej monarchii, gdy się te między chrześcijanami zagnieżdżą. Widzimy jego ślady w społeczeństwach, które przechodziły choroby takie jak galikanizm — więcej jeszcze po józefinizmie. Dlatego też od

nastania chrześcijaństwa cała historia krąży około walki Kościoła, uniwersalnej duchowej monarchii Chrystusowej, z Państwem, chcącem zawsze, nie służyć Kościołowi, lecz go zastąpić.

A niebezpieczeństwo tego obłędu jest tem większe, że ono nie wynika z fałszu teorii, tylko z fałszu zastosowania. Bo to prawda, że ojczyzna chrześcijańska jest postacią społeczności nadprzyrodzonej, Kościoła tylko postacią lokalną i o innej władzy. Bez tych dwóch warunków, któremi Chrystus je wzajemnie rozdzielił, te dwie strony społeczeństwa chrześcijańskiego płaczą się w głowach i bałamuca, na szkodę, rozumie się, tej strony, która mniej pod zmysły podpada, i za którą siła materyalna nie stoi. Dusze się w tem obniżają i obniżają się stosunki społeczne.

Tem właśnie stoi społeczność odkupiona wyżej i od Państwa pogańskiego, i od ideału Meyańskiego, że ma otwarte drogi, i dla dusz do Boga, i dla społeczności do postępu, — którego znów rdzenia jest to, że się dla coraz większej ilości dusz otwiera droga do Boga i że społeczność, nie tracąc Nieba z oka, staje się coraz szczęśliwszą na ziemi.

Jedynem, na ten obłęd społecznej pychy, lekarstwem jest rozdzielenie tego, co schyzma łączy, a co Chrystus Pan rozdzielił. Najprzód, oddzielił on władzę od władzy. »Co Cesarskiego oddaj Cesarzowi, co Boskiego Bogu«. Potem, uczynił władzę świecką zależną od Prawdy i Moralności — których straż i tłumaczenie powierzył władzy Kościelnej. Potrzebie, władzy Kościelnej dał prawo i obowiązek powszechności, przez co postawił ją, i w granicach każdego na świecie Państwa, i za granicami każdego. Przez to ona jest wszędzie u siebie, a od nikogo nie jest zależną. Po czwarte — i to On już spełnia w dziejach Kościoła — podzielił świat na wiele ojczyzn i Państw, i nie dopuszcza, aby które z nich doszło do uniwersalności.

Lekarstwem więc jedynem na chorobę samouwielbienia społecznego, nieodłącznego od mesyanicznego pojęcia Kościoła — jest to, że granice Kościoła nie są granicami jednego Państwa, ani jednego szczepu, i że głowa Kościoła nie jest zarazem głową Państwa z Kościołem jednoprzestrzennego. Bez tego antydotu społeczność, jeżeli jest potężna, musi być opętana przez tę pychę, która w oczy bije już w dziejach Moskwy.

Urządzenie, dane nowemu społeczeństwu przez Zbawiciela, wykluczające, jak najzupełniej, najwyższą wszechwładność Państwa, wymagało więc koniecznie, aby starożytny Rzym, będący źródłem prawno-państwowych pojęć w świecie jeszcze pogańskim, przestał być stolicą wielkiego mocarstwa. I widzimy już, na odwrót, na jednowłoskim Rzymie, próby tych pokus megalomanii. Taż sama niezgodność między ideą Państwa uniwersalnego, obejmującego, rzędem swym, sumienia, — a ideą Monarchii uniwersalnej duchowej, zasiadającej na trybunale, aby sądzić czyny ludzi, nawet tych, co kierują Państwem, musiała się wyrazić nienawiścią stronników jednej idei do stronników drugiej. I w tem również tkwi niepodobieństwo, aby rządy schyzmatyckie mogły wypuścić Kościół z pod swego jarzma, i zezwolić na porozumienie się swych poddanych z Rzymem. Konstantyn znaglony był cudem — ale już następcy żalowali jego ustępstw.

A skoro to ostatnie jest prawdą, to jasnem jest, że Polska potrzebowała, dla wypełnienia swych przeznaczeń, pewnej siły państwowej. Bo jak, z jednej strony, tylko państwo tak od cezaryzmu dalekie, jak Polska, mogło wprowadzić do Moskwy wyobrażenia społeczne chrześcijańskie, tak, z drugiej, mogło ono to uczynić tylko pod zasłoną siły, zdolnej do ochrony wolności Kościoła od tyranii schyzmy. Dzieje Unii dowiodły, że tylko pod rządem, mogącym wolność zabezpieczyć — unia Florencka była w stanie wrócić do życia i zakorzenić się głęboko. Niestety, siły tej na zewnątrz Polsce zabrakło!

Więc Schyzma zwyciężyła, bo mocniej chciała, i na-

stępnie przeniosłszy walkę na naszą stronę, nam odebrała wolność religii i Kościoła.

Lecz walka nie jest dla tego skończoną. Owszem, tem dopiero, stała się ona pierwiastku swego świadomą. Dziś obaj zapaśnicy wiedzą o co walczą i pod jakim sztandarem.

Przeciw istnieniu takiego zasadniczego antagonizmu, wiemy, iż dziś, zagranicą, powstają niektórzy katolicy, pragnący Rosyę zjednać dla unii z Rzymem — i mający nadzieję, że do tego dojdą, tłumacząc Rosyi, że ona jest prawie, prawie, katolicką. Rosyanie im mówią, że gdyby nie Polacy, oni by dawno byli katolikami. Wynaleźli, że Unia Brzeska nie zasługiwała na trwanie, bo z polityki, nie z miłości, była poczęta. Zapomnieli, że wylała i wylewa jeszcze swoją krew męczeńską. Słowem odmawiają nam zaszczytu i prawa trzymania na tych kresach Kościoła jego chorągwi.

Lecz tę chorągiew nie myśmy samozwańczo pochwylicili. Wtłoczyły nam ją w ręce historia i natura. Jesteśmy katolikami, jesteśmy Słowianami, ruch katolicyzmu schyzmy, u nas jedynie, na wielką skalę się zaczął i pod naszą osłoną rozkwitł. Dziś cierpimy za wiarę, bo gdybyśmy ją chcieli opuścić, wnetby te cierpienia ustały. Słowa, które w Watykanie stoją przy postaciach Karola Wielkiego lub Ferdynanda Katolickiego: *Romanae Ecclesiae ensis clypeusque — Christiani imperii propagator* — mogłyby równie dobrze jaśnieć nad głowami Jagiellonów, Batorych, Zygmunatów. Winą naszą, żeśmy osłabli w tem katolicyzmie chorążostwie.

Lecz zbudzili nas do poznania prawdy, w rękach naszych spoczywającej, wrogowie, wznieseni na nowo duchem Groźnych, Alexych i Borysów. Katolicyzm stał się wrogiem narodowym, od Bałtyku do granic perskich. Jak Górczakow Zamojskiemu mówił w roku 61-m: »dam wam broń, i bijmy się«, tak stara Moskwa ożyła, i rzekła Polsce — »zbierz z ziemi sztandar, który jest twoim, i walczmy«. Wro-

gowie to wtoczyli nam w rękę sztandar katolicki, nie myśmy się do niego porwali.

A skoro tak jest, to próżno pytać, czyśmy dość czystości miłością, i wierzący, i święci, żeby ten sztandar móżdż nieść na ziemię wschodu? Z pewnością, nie: — i dlatego winniśmy się dostroić do wielkości włożonej na kark naszą sprawę.

Z drugiej strony, taka jest w Europie nieznajomość Rosyi i taka, nawet w duchowieństwie zachodniem, nieznajomość schizmy, nie teologiczna zapewne, ale historyczna i praktyczna, że wyciągają do niej, z Francyi i Włoch, ręce, przywołując do zgody, i łudzac się, — zupełnie, jak my podczas powstania, — echem swoich własnych głosów. Niechcą, nie mogą tego pojąć, że schyzma, zwłaszcza rosyjska, która jest kluczem wszystkich innych, jest Państwem; i że mówić jej, aby się nawróciła, jest to mówić Państwu: złoś berło!

I nie widzą, że najniewłaściwszą ku temu chwilą jest ta, w której temu Państwu zawraca się głowa od potęgi. Do unii z Rzymem, niech wiedzą, nie przystąpi Państwo, stojące na zasadzie dyzunii. Przystąpiłby może Kościół rosyjski, gdyby wyszedł z pod opieki państwa i nie miał powodu do obaw, — lub, gdyby opuszczony był od opinii publicznej, i przez nią zmuszony do szukania życia w Rzymie. Lecz i na to trzebaby, aby zaszedł w tej opinii zwrot, którego obecnie niema, — ale który nie jest niemożliwym.

XIV.

Oczywiście, tego zwrotu i tego wzrostu opinii publicznej w Rosyi, natychmiast spodziewać się nie można. Ani kierunek szkół, od czasów Mikołaja, który pierwszy wyrzekł formułę: »Samowładztwo, prawosławie, narodowość«, i napiętnował nią publiczne wychowanie, ani kształcenie opinii przez prasę od lat trzydziestu i kilku, nie pozwalają, w bliskości bezpośredniej, tego zwrotu przewidywać.

Jak dalece trudno jest oczekiwać go w dzisiejszej dobie, świadczy przytoczony już O. Tondini, — zmuszony uznać to, czegooby widzieć nie chciał, — on, który całe swe życie poświęcił myśli przywiedzenia Rosyi do unii z katolicyzmem. W mowie już wspomnianej, mianej w Reims w roku 1894 przychodzi on, po długiem zaprzeczaniu aby Polska miała coś znaczyć w tej sprawie, do przyznania jej przynajmniej biernej roli — zawady. Oskarżenie to, pożyczane on od swych rosyjskich przyjaciół, nie mówiąc nam wszakże, co mamy robić, aby przestać być zawadą. — Nie widzi także tego, że jeżeli zawadą jesteśmy, to zupełnie z winy Rosyi, która, aby się we własnych oczach usprawiedliwić, ćwiczy się nieustannie w nienawiści i pogardzie względem nas. A w nas, i z nami razem, nienawidzi katolicyzm i gardzi nim.

Zapytuje się tedy O. Tondini »czy połączenie Kościołów nie wyda się chimera, gdy się zważy, że dla wielu przyczyn katolicyzm jest w Rosyi jednoznacznym z polonizmem«. Myśl rosyjską względem Polski widzi w słowach Puszkina, nazywającego walkę tych dwóch narodów »walką domową« i powiada w końcu, że duch rosyjski tchnie żądzą straszną odwetu narodu upojonego świadomością swej siły. Odwetu za co? Oto »za poniżenie przez długie wieki Kościoła greko-rosyjskiego, (przez kogo, można zapytać — bo, jeżeli przez katolików, — i to jest myśl O. T. — to czy katolicy mieliby to teraz naprawić, oddając cześć temu Kościołowi schyzmatyckiemu!), ktorego na kongresie Berlińskim, Rosya zgłosiła się przedstawicielką, protektorką, i tem samem mścicielką przeciw temu, co Rosyanie nazywają pychą Kościoła Rzymskiego. »Przeszłość Kościołowi katolickiemu, przyszłość greko-rosyjskiemu«, oto marzenie tam wszystkich, od chaty chłopskiej do pałacu cesarza«.

Przytaczając to, pragniemy pokazać, że i obcym, studyującym te rzeczy, staje się jasnym, że spór Rosyi z Polską, jest przedewszystkiem sporem religijnym — i że dziś jest on w ten sposób w Rosyi zrozumianym, — t. j. jako

spór między Kościołem Wschodnim i Zachodnim, toczącym się na wspólnej niwie słowiańskiej.

Tu jest oś całej sprawy, i trzeba koniecznie, abyśmy się tą prawdą przejęli. Wszystko inne: niepodległość, byt narodowy, walki orężne, pycha państwowa, wszystko około tej osi się obraca. Nie zrozumie nigdy natury tego sporu, kto na to patrzy ze stanowiska czysto politycznego.

Zwróćmy się teraz do pytania, na które odpowiedzi w tej pracy szukamy: czego Bóg od nas Polaków obecnie oczekuje? Czem możemy Jego sprawie służyć?

Dla oryentowania się w tej kwestyi, mamy dwa punkty wytyczne, dwa fakta niezaprzeczone — jednym jest to, że nasz front działania, od czasów Unii z Litwą, zwrócony jest ku Wschodowi, i że przez tę Unię zrobiło się z Polski Piastowskiej państwo federacyjne Polsko-Litewsko-Ruskie, zogniskowujące rozpadłe części Rusi, w imię katolicyzmu i zachodniej cywilizacji. To państwo zaś istnieniem i dążeniem swoim spotykało się z drugim ogniskiem centralizującym Ruś na podstawach bizantynizmu politycznego i religijnego, nie bez przymieszki niezmiernie ważnej, — praktyk rządzenia z Mongolskiego panowania pozostałych.

Drugim faktem jest, istniejący od tegoż czasu między temi ogniskami radykalny polityczno-religijny antagonizm.

W tej walce, w której, jak w każdej moralnej walce, ta strona zwycięża, która mocniej chce, a ta chce mocniej, która silniej wierzy w jedność swej sprawy ze sprawą Bożą, my Polacy tem grzeszymy, że za słabo w to wierzymy. A rzeczą jest pierwszej wagi, abyśmy mocno wierzyli — bo tylko tą wiarą zwyciężymy.

Za słabo wierzymy, bo patrzymy na naszą rolę, w dziejach, ze stanowiska całkiem przyrodzonego, i sprawy Bożej w sprawie naszej nie widzimy. Widzimy dobrze, co by Bóg powinien, według nas, dla nas, zrobić — lecz nie widzimy tego, w czym my do ziszczenia zamiarów Bożych służyć mamy — bo nie patrzymy na to pytanie z tego stanowiska co Kościół. Jeżeli chodzi o dobre miejsce do

patrzenia na świat i na politykę, to wiadomo, że żadne nie wyrówna Rzymowi.

Biada nam, że nie mamy wiary w to, że za sprawę Bożą walczyliśmy i cierpimy, boby się w nas wielkie rzeczy sprawdziły, skoro wiemy ze znaków pewnych, że są wola, względem nas, Boga. — Bo czyż pięciowiekowy kierunek narodu nie rzuca na stan nasz obecny dosyć światła, abyśmy mogli poznać co Bóg rozkazuje?

Czy Wolą Bożą jest, abyśmy Rosyę nawracali na katolicyzm? Nie. — Ani w przeszłości to nie było naszym zadaniem, ani jest niem, tem bardziej, w terażniejszości.

Rosyi nikt nie nawróci, a najmniej Polacy, — Rosya sama się nawróci, gdy jej wolno będzie oglądać prawdę. Czyż nie tak było z Unią Brzeską?

Pycha jest tam nadto wielka, aby ją ludzie mogli słowem swem usunąć, a tem bardziej ludzie tak znienawidzeni i pogardzeni, jak my w Rosyi.

Więc nie to jest zadaniem naszym. Ale tak, jak w przeszłości mieliśmy zadanie, orężem przynieść jej tę wolność wyboru — tak dziś mamy to zrobić cierpieniem, poddaniem się Bogu, i modlitwą.

Hasło: »za naszą i waszą wolność« — nie było złem, tylkośmy go nie rozumieli, jak należało, bo nam samym nie chodziło wówczas o wolność Kościoła.

Złem i szkodliwym jest to drugie hasło, przeciw któremu walczyliśmy w tych kartkach: »otoczyć tron, zespolic się z ideą państwową rosyjską«.

Nie o ideę państwową rosyjską powinno nam dziś chodzić, lecz o ideę społeczną; nie z Państwem, ale ze społeczeństwem rosyjskiem, — o ile ono pomimo schizmatycko-carskiego systemu, zdolne jest odczuwać potrzebę społecznego postępu, — szukać nam przymierza. Trzeba starać się o zejście się, w dążeniu do wolności Kościoła, z temi ogromnemi masami ludowemi, tak uciśniętymi nieprawdą, a tak szukającemi prawdy. A my prawdę przecie posiadamy: niech one się o tem dowiedzą. Niech te dusze nie

giną marnie, jak ów, z pomiędzy wielu jeden, sekciarz ludowy, Piotr Sutajew, który lat temu dwadzieścia, począł żyć według »odkrytej« przez siebie Ewangelii; a mniej od Tołstoja pewnym będąc swego o niej rozumienia, wzdychał: »Ach, gdyby mi kto dał prawdę! Jabym całe życie oddał się na służbę temu, coby mi dał poznać prawdę!« A potem, nie znalazłszy go, jak mówią, rozpił się.

Punktem zetknięcia się naszego z tym ludem, pragnącym prawdy, a wyrozumiałym na obce wierzenia, — a razem pierwszym interesem społeczności rosyjskiej, jest wolność kościelna, i sprawiedliwość. Otóż, naszym zadaniem jest, aby tę wolność zdobyć dla siebie i dla Rosyi, skoro tak jest, żeśmy z nią złączeni, i dla siebie samych jej, jako przywileju, ani możemy, ani chcemy pozyskać. Powinniśmy jej szukać, jako prawa Bożego, sumieniom i Kościołom nadanego. Tu staje się nawet polityczną koniecznością hasło: »za waszą i naszą wolność«. — Chrześcijanie pierwszych wieków także cierpieniem, poddaniem się Bogu, i modlitwą zdobyli tę samą wolność, z której wyrosła cywilizacja zachodnia. Mieli oni ją w duszy, jako prawo natury, i umierali dla tego prawa, przez ludzi zaprzeczanego: i oto razu jednego to prawo z ich duszy wielkiem drzewem się podniosło i zapanowało nad światem.

Równie, jak Rzym starożytny, Rosya nie rozumie wolności religijnej. Znany myśliciel, Aksakow, powiadał, że Rosya przyjąć musi do wolności religijnej, tylko... nie teraz jeszcze, a to ze względu na sprawę prawosławia na zachodnich kresach. Więc i on, najmądrzejszy z Rosyan, nie rozumiał wolności, kiedy chciał pierwiej zdusić katolicyzm, i na jego trupie ją ogłosić.

Wielką ulgą jest cierpiącym, kiedy rozumieją swego cierpienia wartość dla wielkiej i świętej sprawy. Otóż sprawa jest tu tak wielka, że warto dla niej i dłużej cierpieć. Większej sprawy od czasu krucyat nie było.

Naprzód, w tem ziarnku wolności Kościoła, wolności Boga, w Rosyi, leży może rozwiązanie trudności Polsko-

Rosyjskiej. Bo jeżeli skutkiem pozyskanej wolności swego Kościoła Rosya stanie się katolicką — nic wtedy nie będzie stało na przeszkodzie zakończeniu dzieła Jadwigi i Jagiełły, Unią Polski z Rosyą, przez którą dwa narody zbratają się w wolności, i zjednoczą duchy swe i cele, pozostawiając sobie, ile same zechcą, ze swej odrębności.

Zaiste, kiedy Frankowie uwolnili Zachód od schyzmy Aryańskiej, i sami złączyli się z katolicką ludnością przez tę schyzmę w pętach trzymaną, zrobili rzecz wielką między wielkimi, od której początek wzięły dzieje chrześcijaństwa zachodniego, a jednak, śmiemy powiedzieć, nie byłoby rzeczą mniejszą otworzyć Rosyanom przystęp do katolicyzmu.

Te masy ludów rosyjskich, tak wierzących, tak wysoko ceniących wiarę — tak skłonnych do zastosowania do niej życia swego prywatnego i publicznego — te masy, gdyby je duch katolicyzmu przejął, zatrzymałyby rozkład społeczeństw chrześcijańskich przez rewolucyę — stanęłyby wraz z nami, jako Słowiańszczyzna katolicka, wobec socjalizmu i ocaliłyby ludzkość i cywilizacyę. A jeśli się weźmie na uwagę warunki, w jakichby się to jedynie stać mogło, t. j. uprzednie nasze, i z nami Słowian, przyjdzie do prawdziwego uspołecznienia katolickiego, to się może przypuścić, nie tylko zbawienie cywilizacyi — ale całkiem nowy jej polot.

Jeżeli to jest marzeniem, niech mi będzie wybaczonem przez pozytywistów polityki — »matematycznie« obliczających tylko »rzeczy obliczalne«. — Niech nam zostawią to marzenie, żeśmy do czegoś więcej jeszcze przydatni niż do konserwowania tylko bytu własnego — choćby, dla wszystkich i dla nas samych, bezpożytecznego.

Lecz to nie marzenie. Polska ma jeszcze wielką misyę do spełnienia, jeśli się do niej przygotowuje jak trzeba; a od niej jednej zależy, by ją spełniła. Misyę ma taką, że jeśli jej nie spełni — świat dalej pójdzie tym torem siły i fałszu, w którym go utwierdziły nasze błędy i ruiny.

XV.

Wolność religijna jest więc celem. Jakież do niej drogi?

Łatwemi one nie są: ale kto ukocha cel, temu się ukaza i drogi.

Przedewszystkiem nie należy ani na krok ustąpić z zajmowanej jeszcze pozycyi, i bronić tego co z niej pozostało, bo trzeba zawsze drogę odwrotu trzymać otwartą. Nie mogąc nic z prawowitych ideałów i dążeń narodu w życie przeprowadzić, nic nas też nie zmusza, abyśmy mieli coś z nich uraniać, cokolwiek tracić ze stanowiska duchowego, nie mówiąc już o materyalnym, owszem mamy je wzmacniać, opierając na Kościele. Więc ani nadziei niepodległości, ani dążenia doń, każdym krokiem, każdą czynnością, każdą dozwoloną i roztropną, chociażby powolną i długą drogą. Nadzieja ta i dążenie, które niektórzyby poświęcili, inni zawiesić tylko chcieli, dla utrzymania bytu narodowego — są właśnie tego bytu wolnem w więzieniu oddychaniem.

Nie powinniśmy ani szukać z Rosyanami większego niż koniecznie potrzeba zbliżenia, nie żebyśmy mieli ich nienawidzić, ale dla zachowania w całości i bezpieczeństwie tego skarbu duchowego, który, — jak świadczą zresztą zalecenia Kościelne wobec innowierców, — łatwo się rozprasza w obcowaniu przyjaznem z ludźmi należącymi do innego, niż my, obozu. Tem bardziej nie powinniśmy »otaczać tronu« władzy nieprawowitej, bo to nie może być, jedno albo odstępstwem, albo kłamstwem. To co się od nich otrzyma nadskakiwaniem, nie jest warte tego, co się straci. W takim obcowaniu, Rosyan nie zdobędziemy, ani dla Kościoła, ani dla nas — czy to na cesarskich komnatach, czy to w domach gry; — ani są tam tacy, którzyby szukali prawdy, czy sprawiedliwości. — Ani też z naszej strony mogą tam się ukazać tacy, co ich dla naszej sprawy pozyskają, — a stracimy na czci narodowej, na miłości

Ojczyzny, na zrozumieniu naszej sprawy, — a nawet na wierności religijnym zasadom.

Nie mamy też powodu zajmować się kwestyą graniczną naszego żywiołu. Skoro, w obec świata, nie stoimy na podstawie traktatów, to zostawmy rozgraniczenia potomkom — bo jako żywioł przyszłości i żywioł moralny, nie wiemy dokąd granice nasze sięgają, a winniśmy tak żyć i działać, aby była Polska wszędzie, gdzie są Polacy. Granice Korony doszły nieprzewidzianie do Dniepru dopiero po Unii z Litwą. Sprawa granic i niepodległości, sprawa państwowa Polski, to sprawa innego pokolenia. Naszą zaś sprawą jest przygotować mu stanowisko moralne, i materiały społeczny.

Jeżeli, jak się to obszernie wywodziło w »Demokracji Katolickiej«, naród nasz skupi się w duchowem swem jądrze, w katolickiej swej essencji, tak, aby się naprawdę stał przedewszystkiem potęgą duchową — to liczba nasza i granice historyczne, i granice etnograficzne, wszystko to zmienia znaczenie. Bo to nie są już miary na potęgę ducha. A jeśli te potęgi są z Bogiem sprzymierzone, jeśli są Jego narzędziem, Jego świątynią — to co tu przedwcześnie rozprawiać o liczbach, granicach i formach.

Czyż potrzebuję, po tem, co już powiedziałem, dodawać, że nie powinniśmy ani myśleć o powstaniu. Nie, żeby się to niegodziło, bo mamy prawo do tego, mielibyśmy nawet obowiązek, gdybyśmy mieli siłę po temu. Ale obecnie bezsilność nasza i brak wszelkiego widoku na pomoc obcą są aż nadto wyraźnym znakiem Woli Bożej. Jest to owe, o którym Bossuet tak wspaniale mówi, przy prowadzenie rzeczy do tej niemocy i rozpacz, od których, poczyną się czynne wdanie się Boga. *»Quand Dieu veut faire voir qu'un ouveage est tout de Sa main, il réduit tout à l'impuissance et au désespoir, puis il agit«.*

Widocznie więc Bóg nas inną drogą ku wolności kieruje. Zresztą, gdyby się i miało zdarzyć, żeby jakie mocarstwo po szczęśliwie przeprowadzonej wojnie z Rosyą

chciało Polskę odbudować, to odbuduje ją taką i w takich granicach, jak jemu to będzie dogodnym. A przy dzisiejszych milionowych armiach, nasze, jakiegokolwiek wysiłki, byłyby tak drobne, że nic nie zaważą z pewnością w chwili rozgraniczeń i postanowień pokoju. Szaleństwem byłoby więc myśleć, i wtedy nawet, o pomaganiu zbrojnym nieprzyjaciołom Rosyi. Za Napoleona III-go mogło to coś znaczyć, bo gdyby był wojował z Rosyą, to i o nasze prawa, — i wypisanie tych praw krwią, mogło coś znaczyć. Ale, że w przyszłej wojnie nie będzie chodzić o nasze prawa, a gdyby, po niej, kto chciał coś dla Polski zrobić, to tylko dla własnego interesu — więc, nawet w razie wojny, powinniśmy jak najciszej siedzieć, nic nie narażając.

Czyż, prócz tych biernych obowiązków wstrzemięzliwości, nie mamy nic do czynienia, aby pracą naszą przygotować krajowi lepszą przyszłość?

I owszem. Mamy najprzód pracę społeczną, którą i w Rosyi można prowadzić, co najmniej w rodzinie.

Powinniśmy się stać społecznością na wskroś katolicką, choćby tylko część inteligencji w to katolickie uspołecznienie, wraz z ludem, weszła. Mamy być społecznością, złożoną z rodzin ściśle katolickich: więc przestrzegających przepisy kościelne, zajmujących się, ile się da wspólnie, rzeczami obchodzącymi dusze i Kościół, tę wspólną dusz Ojczyznę; badaniem w Piśmie mądrości Bożej — nie uczenie, lecz praktycznie; przystępujących wspólnie do Sakramentów, wspólnie się modlących; słowem, z rodzin, w których Bóg panuje — i z których łona On szerzy swe panowanie dokoła; z rodzin złączonych między sobą, nie znową, nie spiskiem, ale istotną wspólnością duchowego życia. Takie rodziny istnieją w Polsce, dzięki Bogu, i istnieją także między niemi takie węzły ducha. — Otóż trzeba, aby większość była taką. To życie nie znaczy odcięcie się pustelnicze od świata: owszem, niech, wśród świata, odrębnością duchowego blasku świecą. Moglibyśmy nazwać, gdyby nam wolno było, w jednej z wielkich stolic, pewną wyższego

rodu panią, prowadzącą swe córki na bale, a obdarzoną pomimo to takimi łaskami nieba, jakie się w Kościele zawsze do rzadkich liczyły.

Panująca w Rosyi schyzma nie zdoła przeszkodzić nikomu nauczyć się z katechizmu obowiązków względem Boga, Kościoła i bliźniego. Przeciąć ona może wszelkie komunikacye ludzi z ludźmi, ale nie może przeszkodzić, aby nie zostało jednostkom, żyjącym w Bogu, wspólne między sobą »czucie« przez Boga, będącego wspólnem ich środowiskiem. Agitacyi żadnej Rosya nie dopuści, na wiece katolickie katolikom zjeżdżać się nie da — ale nie przeszkodzi temu, aby się wzajem nie poznali i nie pokochali ci, którzy Boga, sercem, nie formułkami, otoczą i umiłąją. Sprawi to wszystko Duch Św., »rozlany w sercach naszych«, lecz zatamowany w społeczeństwach schyzmatyckich. Zmuszony On chodzić tam, wraz z nami, tajnymi drogami, by dojść do celów Swojej miłości.

W takim niezwyčajnym stanie rzeczy, jeśli ludzie zrobią co będą mogli, Bóg ze swej strony dopełni, środkami niezwyčajnymi, tego, czego oni dokonać nie potrafią. Praca społeczna pod rządem rosyjskim zależy od nas, od głębi jednostki aż granic rodziny. Przyjmijmy to pole działania. Niech tylko tam każdy swój obowiązek spełni, budując swe życie indywidualne i rodzinne na podstawie ściśle katolickiej, a Bóg już to sam sprawi, że bez niebezpiecznej propagandy, jak za katakumbowych dni, wszystkie dzieci Boże poznają się braćmi w »Jednym, Świętym, Katolickim, Apostolskim Kościele«! Chłop, tam, poczuje brata w szlachcicu, gdy go ujrzy prostym i szczerym, nie od święta tylko, katolikiem; gdy go, przy sobie, ujrzy wielbiącym Boga utajonego na ołtarzach. A wtedy, bez żadnych tajnych organizacyj, jak pod różdżką czarodziejską, stanie się między nami wielka, silna jedność, na Bogu oparta, i wyrośnie siła wielka. Ta siła złączy się też z przeszłością, gdy się ujrzy w jednym z nią szeregu przed Bogiem.

To podniesienie katolicyzmu w indywidualnem i spo-

łącznym życiu jest koniecznym wstępem do dalszej pracy, będącej rozwojem naturalnym tegoż życia. Gdy bowiem katolicyzm tak w nas się ożywi, wtedy zrozumiemy, czego jeszcze nie rozumiemy, jak należy, pod rosyjskiem berłem, — wtedy obaczymy na jawie, że, przez gniesienie Kościoła, uwięziona, i skrępowana jest najważniejsza połowa naszego życia społecznego, rodzinnego, i indywidualnego. Dziś za mało tą stroną żyjemy, abyśmy to, w całej prawdzie, odczuli. — Dziś czujemy się więcej gniesionymi od strony narodowej lub majątkowej, a duchowieństwu i ludowi zostawiamy ów drugi ciężar duchowy. I tu leży jedna z przyczyn niezrozumienia się wzajemnego między synami jednej matki. Bo czy klasę inteligentną kto dusi z powodu nabożeństwa do Serca Jezusowego? Czy ona odczuwa to boleśnie i na sobie, że niema dość księży na odpustach? Czy ona na tem cierpi, że księża, że biskupi, że seminarya zawisły tak niemal od rządu, jakby już były w schyzmie? Prześladowanie Kościoła niezawodnie mniej ją dotyka, bo dla niej życie Kościoła, wspólne święto, odpust, procesya, blask aparatów, nie jest tak, jak dla ludu, życiem całej wyższej strony ludzkiej, duchowej, rozumowej, estetycznej, wspaniałej. Wyższa klasa ma swoje salony, uciechy, teatry, sztuki piękne, i t. d. — Przeto też niema w niej tego żywego, wspólnego cierpienia z Kościołem — tego poczucia braku powietrza i wolności, — nie jest ona krzyżowana z Chrystusem w krzyżowaniu Kościoła, — nie czuje ona, że schyzma więzi Boga samego, otoczywszy go kordonem policyi, aby nie miał przystępu do dusz, — ani one do Niego.

I dla tego rozdwojenia w cierpieniu, prześladowanie wiary nie wydaje owocu społecznego, albo go mało wydaje. Bo owoc ten powinna zebrać cała społeczność, i to, począwszy od wykształceńszych.

Tym zaś owocem ma być miłość Kościoła i wolności Kościoła — poczucie potrzeby Kościoła dla życia i potrzeby Kościoła wolnego. Gdyby to życie było dla klas wyższych,

jak dla ludu jest, powietrzem ducha, tobyśmy inaczej cierpiei i działali. Lecz co mi to za jedność narodowego bytu, gdzie dusza inteligencyi w innej oddycha atmosferze, a w innej dusza ludu!

XVI.

Niema co prawdy taić przed sobą: Moskwa uratowała nas, i swoim religijnym antagonizmem, i prześladowaniem Kościoła. Bez niej byłby on zamarł u nas, jak w Węgrzech, — gorzej niż Węgrzech, gdzie on stoi silnie wsparty na dynastyi, na arystokracji po katolicku chowanej, i na możliwym, a nie zdławionym siłą, episkopacie. Bez tego wschodniego pedagoga stalibyśmy się wielkiem niebezpieczeństwem dla świata, bo siłą rewolucyjną, zasadniczo i narodowo anarchiczną w sercu Europy i u wrot Słowiańszczyzny rozłożoną. My, dopiero dziś, po stu latach tego ćwiczenia, przychodzimy do poznania czem jesteśmy i co jest naszym w dziejach zadaniem. Twardsi od żydów, których 70 lat niewoli do gruntu przerobiło, my po całym wieku dopiero zaczynamy oczy otwierać i z jakąż jeszcze trudnością!

Teraz, przemocy łańcuchem, skuci ze śmiercią duchową schyzmy, musimy przyjść do zrozumienia, że zbawienie jedyne jest w ożywieniu ogromnego trupa, w którego wnętrznościach ciemny pędzimy żywot. — A siłą dłań ożywczą, jak i dla nas, — wolność religijna. Ją to wnieśliśmy niegdyś w łono schyzmatyckiej Rusi litewskiej. — W niej zawarta była skra tego ognia, który Zbawiciel chce roztopczyć po ziemi, — a której daliśmy przygasnąć. Dziś, kiedy ją Rosya sama w nas rozdmuchiwa — powinniśmy z tego skorzystać, aby od niej otrzymać, choćby po latach pracy i walki, wolność Kościoła. Na to nie trzeba wielkiej materialnej mocy.

Lecz, powiedzmy sobie to odrazu: wolności tej nie otrzymamy jako katolicy, chociaż jako katolicy tylko możemy i powinniśmy się jej domagać.

Chcę przez to powiedzieć, że Rosya dzisiejsza — ta urzędowa, carsko-schyzmatycka, nie zaś głąb społeczności rosyjskiej, pierwiej muzułmanom i żydom przyzna wolność religijną, niż katolikom, jak to widzimy nieustannie z praktyki. Należy więc opierać się, w tej walce o wolność, nie na prawie katolicyzmu, ani na żadnych obietnicach poprzednich, ale na prawie naturalnej słuszności, która zabrania używania przymusu w rzeczach sumienia.

Ten argument nie będzie miał żadnej cechy odrębności narodowej, i będzie zrozumiałym zawsze; a jest to, conajważniejsza, podstawa, na której spotkamy się z pragnieniem tejże wolności religijnej ze strony wszystkich nienależących do cerkwi urzędowej rosyjskiej i z uznaniem wszystkich prawosławnych. Od Finlandyi do Kaukazu, od Kujaw do Kazania, i dalej, obudzi się jedno, w całym państwie rosyjskiem, pragnienie i dążenie, tak zrozumiałe i słuszne, że trudno będzie, aby się w niem nie połączyło wszystko, co tylko myśli i czuje; i trudno będzie temu pragnieniu, w końcu, nie uledez. — Słowem trzeba, aby wszyscy w Rosyi — ktokolwiek jest za swą wiarę trapiiony, i jakakolwiek jest ta wiara — ktokolwiek rozumie, że w ucisku religijnym tkwi przeszkoda do wszelkiego postępu — komukolwiek miła jest słuszność i wolność — ktokolwiek ma serce ku litowaniu się nad straszną krzywdą, wyrządzaną gwałceniem sumień, — trzeba, aby wszyscy w jedno złączyli swe usiłowania, swe modlitwy do Boga, swe prośby do tronu, i otrzymali wolność religii i Kościoła, czy Kościołów, słowem, wolność dusz, i wolność działania w nich Bożego.

Trudności są niemałe, wiemy o tem. Rosya nie Anglia, i nie wolno tam agitować nawet w celu zanoszenia próśb do tronu. Wiemy o tem aż nadto dobrze, ale wiemy także, że w Bożych sprawach trzeba na pomoc boską liczyć.

Z niej to płynie, że, bez dzienników i agitacji, wionie czasem duch jakiś po masach, i jak dojrzałe plony nachyla je ku jednemu celowi. Kiedy myśl odpowiada naturze społeczeństwa, dość jest, aby słowo było wymówione, a pójdzie ono, jak zapal prochu, od końca do końca. A cóż więcej odpowiada naturze ludu wierzącego, jak słuszność zasady, aby Kościół każdy, — nie każda niewiara, ale każde wierzenie było wolnem, jeżeli nie sprzeciwia się moralności? Gdy taka myśl zakorzeni się w masach, szczególnie cierpiących za swe wierzenia, będzie ona i bez petycyi siła, przed którą w końcu ustąpi caryzm, jak ustąpił cezaryzm. Nie będzie mógł długo kłamstwem i baśnią rządzić.

Zresztą Bóg, który chce wolności, nietylko Swego Kościoła, ale wolności religijnej w ogóle, o ile ona zasłania dobrą wiarę, — i który chce jej w Rosyi, a nas na przedniej straży zastępów, ku zdobyciu jej przeznaczonych postawił, dał nam i program działania — i wzór. Programem tym i wzorem — Kroże.

Jest »polityka krożańska« — i nie politycy ją wynaleźli. Wynałazł ją lud katolicki — a jest skuteczna.

Krożanie nie szukali kompromisów z Rosyą. Od kwestyi politycznych, ekonomicznych, granicznych oddaleni, nie pragnący ani buntu, ani zmian żadnych, poddani Bogu i władzy — oni jednego chcieli — ale mocno chcieli — aż do krwi. Chcieli mózdz spokojnie Boga chwalić w pięknym swoim starożytnym Kościele. Zabroniono im: podali prośbę do cara. Prośbę nawet zbiorową może podawać ciało zbiorowe, byleby nie było wiadomem, kto tej dozwolonej roboty był »zaczynszczykiem« t. j. kto dał początek. Podali tedy do cara prośbę — raz, drugi i trzeci. Prośby były »najpoddannicjsze« — lud otaczał ubrane w kwiaty portrety cara i carowej — porządku istniejącego nie wywracał, prosił tylko, i prosił o wolność religijną Kroż. Bili, mordowali, wytrzymywał — aż Bóg zrządził, że prośba doszła do cara, a car doszedł do końca żywota. I Krożanie otrzymali co

chcieli: wolność religijną Kroź — bo umieli chcieć — aż do nędzy, aż do krwi, aż do pohańbienia, aż do śmierci!

Pewien poeta flamandzki mówi tak o swoich, a wiadomo, że oni umieją chcieć.

Se wolden what was recht
And se wonden what se wolden.

»Oni chcieli, co było słusznem, i otrzymali to, czego chcieli«.

To się stosuje do Kroź — a Kroże są wzorem tego, jak czynić należy.

Gdyby każde najmniejsze bezprawie, przypuścmy zwalenie krzyża w ogrodzie prywatnym, było przedmiotem nieustających próśb, czy to od gmin, czy od właścicieli, car wiedziałby, gazetyby wiedziały, lud rosyjski by naocznie widział, że nas za religię prześladowają — tem bardziej, jeżeliby procesy były bronione przez ludzi prawych z pomiędzy Rosyan, jak było w Krożach.

Ale na to, aby chcieć wyjść ze swego domowego spokoju i narazić się na tyle nieprzyjemności, trzeba mieć wiarę taką, jak Krożanie, i miłość tak mocną, jak oni — miłość, mówię, wolności Kościoła, czyli wolności Boga, którego schyzma w i ę z i.

Kto tak silne będzie miał przekonanie o swoim prawie — siłę tę Bóg daje tam, gdzie jest prawo — kto tak silnie będzie chciał zwyciężyć i otrzymać, ten zwycięży — i otrzyma. Kto m o c n o chce tego, co s ł u s z n e, mówi ów Flamandczyk, ten zwycięży!

Mamy tu znaki pewne woli Bożej. Bóg nie może nie chcieć jak najrychlejszego otwarcia ciemnicy, w której jęczą, razem, i dusze, i Pocieszyciele, których On im przysłał w Osobie Syna i w Osobie Jego Ducha. Aby się ona otwarła, trzeba zwołać, z Nieba na ziemię, moc Chrystusa i światło Jego Ducha. A na to trzeba miłości sprawy Bożej, miłości zatem dusz; trzeba poświęcenia się dla Boga, modlitwą, cierpieniem, i odważnem występowaniem w imię prawa Bożego.

Oto heroizm, którego Bóg, i Polska przy Bogu, od nas wymaga.

Jeśli to czynić będziemy, nie można wątpić o bliskiem wdaniu się Chrystusa Pana w ten spór odwieczny Polski z Rosyą, ten »spór domowy«, jak mówi Puszkina. — Pod Chrystusa znakiem zwycięstwo! Więc nie przez gwałt, ni przez siłę, ani przez bunt, nie powstawaniem bezsilnych, z pięściami na uzbrojonych, z garstką na miliony! — I nie płaszczaniem się, nie oczekiwaniem czegoś od carów, skutkiem kupienia się koło ich tronu, nie wyrzekanie się siebie samych, nie kłamanie sobie i ludziom! Nie — to nie Chrystusowe drogi! — Chrystus nie jest *mendax et homicida ab initio*! A to jest albo *homicidium*, albo *mendacium*, albo jedno z drugim razem.

Lecz modlitwa, i skupienie się około tronu Eucharystycznego, i tronu Śgo Piotra — i wołanie do Boga i do uczciwych ludzi — ale wołanie pokorne i szczere; nie demonstracyjne.

I modlitwa za wrogów. Nie masz broni straszniejszej, jak modlitwa za wrogów, bo tą bronią bierze się ich w niewolę, i zmusza się do służby sobie. Czy się pamięta dosyć, to co jest powiedzianem o dziełach miłości względem wrogów. Rzeczy straszne i wielkie. »Błogosławię was... i nie mszcząc się sami... bo napisano jest: Mnie pomstę, ja oddam, mówi Pan. — Ale jeśli łaknie nieprzyjaciół twój, nakarmi go: jeśli pragnie, napój go. Bo to czyniąc, węgle ogniste gromadzisz na głowę jego«. (Rzym 12).

A ma to znaczyć, że jeśli będziesz miłował wroga twego czynnie i szczerze, i modlił się za niego, to albo go nawrócisz ogniem twej miłości, albo, jeśli odmówi, to wywołasz nią »pomstę« ognia Bożego gniewu. Idzie o to, czy mamy dość wiary, aby ojawionemu Słowu Bożemu uwierzyć: a uwierzywszy, tak czynić. Tak zaś czyniąc, niema wątpliwości: albo Rosya ustąpi i da wolność religii, albo runie, jak Jerychońskie bramy.

Przypominamy różnicę wyżej zrobioną między społeczeństwem Rosyjskiem a instytucją carsko-schyzmatyczną. Modlić się za wrogów, nie znaczy wcale modlić się za pomysłność instytucyi, — ale za ludzi w nią wplątanych, od chaty zaczynając, do tronu. Módlmy się, abyśmy wszyscy, oni i my, z jej zębatach kół się wydostali; ci, których ona dławi, tak dobrze jak ci, których ona używa: car, i jego ludzie.

XVIII.

Że to krucyata, — wiem o tem; i wiem, że trzebaby jakiego św. Bernarda, aby serca do niej poruszyć. Ale jakże milczeć, nie będąc nim, kiedy się widzi ład chrześcijański przewrócony; Chrystusa Pana w pętach; Ducha Świętego od rządów duchowego społeczeństwa odtraconego; miliony dusz gubiących się lub marniejących. Niestety »ustał Święty, jak mówi Psalmista, bo umniejszyły się prawdy od synów ludzkich«. Ustali święci, miejsce ich zajęli »zręczni«.

A jednak sprawa to wielka, i cześć powołanym do niej!

Być może, że Bóg nas do niej przeznaczył, kiedy nam nie dał siły na niepodległość, która, w duchu niechrześcijańskim przyjęta, odwróciłaby nas od tego zadania. I w Ogrójcu, przecie, gdyby Zbawiciel użył był siły, jak mógł i miał prawo, przepadłaby była sprawa zbawienia. »Panie, mamy li bić mieczem?« — pytali go uczniowie na widok zgrai. On odrzekł: »*Sinite usque huc* — zaniechajcie aż póty (na teraz). Czyli mniemacie, abym nie mógł uprosić Ojca mego, a stawiłby mi teraz więcej niż dwanaście hufców aniołów«. I kazał Piotrowi schować miecz do pochwy; i uzdrowił ucho sługi Synagogi, jakby, przez to zleczenie organu słuchu, dawał poznać, że Mu nie chodzi o tryumf siły, lecz o tryumf wiary.

I my wołamy do Pana: »mamy li bić mieczem?« i uderzamy, nie czekając odpowiedzi. Ale Pan — miecz nam

z ręki wytrąca; daje się w Kościele Świętym więzić, i kładąc rękę na oprawcach, zwraca ich słuch ku przyjęciu prawdy. Nam więc, sługom, schować miecz »aż póty« : póki na to znaku Pan nie da, bo wtenczas — i hufce niebieskie się znajdują.

Pozostaje nam więc jedno: podnieść chorągiew wolności religijnej — jako naturalnej konieczności życia duchowego, jako prawa, którem Bóg sam związał się z człowiekiem.

Przypatrzmy się działaniu systemu carsko-schizmatycznego względem Kościoła. Czy tem ustawicznym wtrącaniem się w wewnętrzne jego sprawy, tem teologizowaniem urzędów z Biskupami, rząd ten, chce do innego dójść celu, jak do złamania katolickiej niezawisłości religijnej względem władzy świeckiej, i do przyzwyczajenia nas do praktyki schizmatycznej, oddającej kierunek sumień, a raczej ich wolność naturalną — więcej powiem, oddającej sumienia same, związane, w ręce cara.

W tym to kierunku, wytrwale, systematycznie, to przyspieszając roku, to zwalnając go, działa Rosya, za pomocą swego »departamentu obcych wyznań« — i tak od Katarzyny. Bronimy się, Rzym nas broni, ale wciąż się cofamy. Dlaczego? Dlatego, że wojna tylko obronna zawsze na cofaniu się kończy. Powinniśmy, koniecznie, przeciwstawić zasadę zasadzie: wolność religijną, jako prawo natury i prawo Stwórcy do natury — ujarzmieniu sumienia ludzkiego.

Ujarzmienie zaś sumienia, kiedy jest rzeczą dokonaną, t. j. przyjętą przez sumienie, to zniszczenie w człowieku równowagi duchowej, którą Chrystus Pan przywrócił, a której sprzeciwia się, w zasadzie, idea Państwa. Tej bowiem równowagi fundamentem jest poczucie wolności woli, zupełnej, co do wyboru, choć, przez grzech, osłabionej w mocy wykonania — w każdym razie, dostatecznej dla oparcia na niej moralnej odpowiedzialności aktów człowieka. A na tej ostatniej stoi porządek cywilizacji, dopuszczalność wolności osobistej: — bo jakże być może wolność osobista tam, gdzie

człowiek nie czuje się odpowiedzialnym za czyny? lub jak może być odpowiedzialnym za nie, jeśli nie czuje, że miał wolny wybór?

I świat starożytny, jakkolwiek wysoko był doszedł w filozofii, nie miał zmysłu na wolność religijną. Dopiero męczennicy, jak historycy to podnoszą, trzema wiekami walki zdobyli wolność religijną. Przez trzy wieki całe, i dłużej, trzeba im było umierać za to, że twierdzili swoje prawo do Boga, kiedy pogaństwo tego nie rozumiało. Ono rozumiało tylko prawo cezara do człowieka. Trzeba było pracy wieków, żeby duszę ludzką przywrócić do takiego ładu, aby z niej rozwinąć chrześcijańską cywilizację. Otóż ten ład człowieka wewnętrzny stoi cały na jego wolności naturalnej do Boga, i na wolności odpowiedniej, Bogu przyznanej, do duszy ludzkiej, bez żadnego wtrącania się władzy świeckiej w ten stosunek.

Nic dziwnego, że Rosyanie, — pod jarzmem systemu, który na nich od wieków ciąży, i według swej modły ukształca ich pojęcia, — nie rozumieją, jak okazuje przytoczony już przykład Aksakowa, esencjalnej potrzeby wolności religijnej dla postępu społecznego i cywilizacyjnego. Oni, tak w tem, jak i w innych rzeczach, pozwolą na tę wolność, gdy ją uznają za nieszkodliwą, gdy im będzie już tylko niepotrzebną ozdobą — więc, gdy już wszyscy *uporstuwujuszczyje*, jak oni mówią o Unitach, albo *obstinatiores*, jak mówiono za Trajana o chrześcijanach, będą Państwu ulegli co do sumienia. Takie to pomieszanie pojęć wkrada się w ludzkie głowy, skoro tylko Państwo staje na miejscu Kościoła! Bo tam, gdzie ten ostatni używa tylko duchowych sił, ono wprowadza siły materyalne przymusu, korupcyi, postrachu i prześladowania.

Otóż jasnym jest teraz, dokąd sięga spór ów »domowy« między nami a Rosyą. Ona, jeśli nasze sumienie podda swemu jarzmu, — nie mówiąc już o innych stronach kwestyi, — targa się w naszej duszy na równowagę, przez Zbawiciela w świecie moralnym przywróconą, i będącą

warunkiem duchowego postępu i chrześcijańskiej cywilizacji. My, jeśli się przy Bożym ładzie, wyzwajającym dusze, utrzymamy, zmusimy Rosyę do przyswojenia tego sobie warunku, przez ogłoszenie wolności religijnej.

Nie może być, zresztą, aby Rosyanie, wierzący jeszcze, nie zrozumieli okrucieństwa tortur, iście piekielnych, przez które przechodzi dusza, zmuszona do opuszczenia wiary, którą uważa za jedynie zbawienną! Nie rozumieją tego niewierzący, ci, którzy są narzędziami tych nawracań przez siłę, ale rozumieją inni. Gdyby się najświętszą prawdę tak szerzyło, krzywda moralna byłaby zbyt ciężką, aby ją człowiek, bojący się Boga, brał na swoje sumienie, bo w każdym razie rozpacz pchałaby ofiary do zguby wiecznej.

Trzeba, zkądną, aby oświeceni Rosyanie zrozumieli, że bez podwaliny wolności religijnej żadna wolność nie może być trwałą. Napróżno by oni wzdychali do kontroli czynności rządowych, do rękojmi wolności osobistej, do zniesienia dowolnych deportacyj, jeżeli samo pojęcie wolności będzie fałszywie postawione. A musi niem być, jeżeli, przedewszystkiem, nie będzie najświętsza z rzeczy — wolność duszy wewnętrzna, złączona naturą z wolną ludzką wolą. Bez tego, ich swobody nigdy nie będą czem innym, jak ta, niby istniejąca jakaś wolność druku, podobna do wolności psów na smyczy, puszczonej swobodnie, póki chodzi o zgnębienie zwierza.

Jaka cywilizacya, jaka sprawiedliwość sądowa, jaka słuszność społeczna jest możliwa, przy takim pomieszaniu naturalnych pojęć o wolności woli? Wtedy, żeby nie wiem jak doskonalono prawa, jak kształcono prawników i sędziów, jak ulepszano instytucye — zawsze w głębi duszy tego zbląkanego społeczeństwa muszą się gnieździć teorye o nieodpowiedzialności za czyny, dziś naprzód wysuwane przez deterministów, fatalistów, materyalistów; — i całe tam filozofowanie, jak w Raskolnikowie Dostojewskiego, będzie ciążyło ku nihilizmowi i rozpaczcy społecznej.

Aby utrzymać ład w takich warunkach, koniecznem jest zaciemnianie umysłów, i trzymanie mas w zabobonie i tu-manach kadzidla cerkiewnego, po za którem nie wi-dać jasno, komu się kadzi, czy carowi, czy ikonom, czy Bogu!

I tu jest prawdziwy probierz stanu cywilizacyi. Mie-liśmy się długo za wyższych od Rosyan w tym porządku rzeczy — i dotąd to odczuwamy, ale nie umiemy dziś zdać sobie sprawy, dla czego wyżsi jesteśmy, skoro widzimy ich postępy w literaturze, nauce, sztuce i materyalnych zdoby-czach. Oni znów, porównywując się z nami na tych po-lach zewnętrznego rozwoju, z góry na nas patrzą. Ale czyż to wszystko nie jest, i u nas i u nich, niezrozumie-niem rzeczy. I Japonia zrobiła ogromne postępy. Ma par-lament, fabrykuje maszynami tkaniny, a zapalkami swemi już wyparła z targów chińskich zapalki europejskie. I cóż z tego? Czemże jest to wszystko, póki człowiek stoi nisko. A stoi nisko, póki nie czuje się wolnym w sumie-niu ¹⁾. Wolnym zaś się czuje wtedy dopiero, gdy rozumie, że żadna ludzka władza tam do głębi jego duszy nie sięga, prócz jego własnej.

Otóż to tem wyżsi jesteśmy od Rosyan, skutkiem wychowania katolickiego; od tych, przynajmniej, którzy formy cywilizowane przydzielili, bo nikt więcej od nich nie jest przejęty fikcją nieodpowiedzialności osobistej gdy wy-konywa rozkazy bezecne; fikcją, która, zresztą, i w Euro-pie, dzięki antagonizmowi Państwa z Kościołem, nadto się rozszerzyła. Lud oderwany raskołem od urzędowego Ko-ścioła, opiera się wprawdzie rządowi, ale dla pogodzenia

¹⁾ Umyślnie tu używamy raczej nazwy wolności religii, niżli wol-ności sumienia, bo tej ostatniej nadużyto w znaczeniu wolności nie wierzenia. Ta zaś ostatnia wolność nie istnieje w naturze, bo natura wymaga, aby człowiek wierzył w Stwórcę swojego. Podobnie ma każdy z natury prawo użyć swego życia ku dobremu, ale nie ma prawa ani go sobie odebrać, ani użyć go ku złemu.

tego oporu z pojęciem praw władzy świeckiej do sumienia, musi przypuszczać, że car jest Antychrystem — inaczej musiałby się poddać. Tymczasem nasz lud katolicki, czy w Podlasiu, czy na Żmudzi — ma cara za cara, ale nie przyznaje mu prawa do swego sumienia.

Lecz my sami, niestety, coraz mniej, — i w tem jest zwycięstwo moskiewskiego ducha, — rozumiemy ważność wolności religijnej, jako zasady prawa naturalnego. Mówię tu o klasach wykształcenijszych oczywiście, bo masy w tem stoją jak mur, gdy z góry mają przykład i przewodnictwo. Bylibyśmy w tej walce nieskończenie mocniejsi, gdybyśmy lepiej znali katolicyzm, więcej go kochali i więcej nim żyli. Wtedy wolność religii byłaby nam drogą nie tylko z osobistych powodów, ale i ze względu na cierpiących za wiarę braci naszych, bo czulibyśmy w ich prześladowaniu sprawę wolności własnej, wolności Kościoła i Boga. Powiedzą mi, że to się czuje. Być może, ale dla czegoż w Warszawie najświetniej karnawał wypadł podczas więzienia Krożan?

Zrozumienie czem jest wolność religijna, jest dla nas więcej bezpośrednią potrzebą, niż dla Rosyan. Trzeba, abyśmy stali na straży nietykalności tej sfery, gdy w nią nieprzyjaciel wkracza, czy to od strony ludu, czy duchowieństwa. Cóż możemy zrobić, powiedzą mi więksi posiadacze ziemscy — kiedy nam nie wolno się do niczego mieszać? Można wiele zrobić, okazaniem współczucia, radą, modlitwą, groszem. Trzeba przyznać, że za zakazem rządowym wygodnie się kryją różne brzydkie rzeczy. W pewnym domu, u ludzi majątnych, na wiadomość o ciężkiej kontrybucyi, nałożonej na miejscowego Biskupa, ktoś zaproponował zebranim gościom składkę na przyjęcie mu w pomoc. Po chwili entuzjastycznie jednogłośnie milczenia, bardzo naturalnego w obec takich propozycji, znalazł się zręczny dyplomata, który zaproponował poprawkę: żeby każdy, z osobna, i tajemnie dał Biskupowi swoją ofiarę,

aby rząd się nie dowiedział o składce. To zostało powszechnie aprobowane, i zapewne — uskutecznione.

Lecz nietylko trzeba strzedz nietykalności własnych granic, trzeba jeszcze szukać sposobów zabezpieczenia tej sfery wolności religii przez rozszerzenie jej podstawy w umysłach, przez wciąganie pod jej chorągiew wszelkich innych osób, bez różnicy religii i narodowości — przez dowodzenie im, że jej w Rosyi niema, pomimo twierdzeń Pobiedonoscewa. Jeżeli prawosławie będzie swobodnie podmywało głąbie społeczeństwa, to i u góry pokój niedługo się ostoi. Nie tylko zatem trzeba bronić wiary w sobie i u swoich, ale trzeba jej sypać obronne szańce, daleko naprzód wysunięte, przez propagowanie wszelkiemi możliwemi sposobami rozumienia, cenienia i przywiązania do wolności religijnej.

Brak tego przywiązania do wolności religijnej jest w prostym stosunku do obojętności w rzeczach religii, również jak i do nieznamości, czem jest ta wolność dla człowieka czującego swą godność, i dla duchowej cywilizacji. I znowu powraca ta prawda, że pierwej trzeba zacząć od podniesienia religijnego dusz, a dopiero potem one zrozumieją i własną wagę, i potrzebę wolności swojej — i konieczność zabezpieczenia jej.

Trzeba, żeby kwestya wolności Kościoła stanęła u nas na czele wszystkiego i stała się osią rewindykacji innych, o ile one będą na czasie. Dla niej niech będzie potrzebne pielęgnowanie języka narodowego masom i dzieciom dostępnego; dla niej potrzebna szkoła wyznaniowa; dla niej, t. j. dla obrony wiary, potrzebny jest rozwój nauk — i inne jeszcze rzeczy. Ale jak w życiu zewnętrznem Kościoła od niej się zaczęło, i w koło niej wszystkie ugrupowały się postępy — tak powinno być wszędzie i zawsze, gdzie idzie o budowę społeczeństwa chrześcijańskiego. To naczelne tej wolności miejsce, nie przeszkadza, aby po drodze do niej, nie żądać tego, co się da żądać, i nie przyjmować tego, co się da otrzymać.

Nie chcemy rekryminować przeciw przeszłości. — Nie można od niej wymagać, czego nie rozumiała. Wszakże można powiedzieć, że gdybyśmy od początku mogli byli zrozumieć, że tą drogą iść należy, jużbyśmy daleko byli zaszli. Przed rokiem 30-tym był czas, kiedy zamiast łączyć się z Rosyanami dla wywrócenia rządu siłą, można było opinię Rosyi przygotować do uznania potrzeby wolności religijnej — jako zasady rządzenia — i wtedy nie tak łatwo byłoby Mikołajowi z odbieraniem nam swobód i z zabiciem Unii, gdyby, jak przypuścić można chciał wejść na tę drogę, nawet bez zaczepki z naszej strony.

Lecz dziś jesteśmy w r. 1896ym, i trzeba postępować ze światłem, jakie mieć możemy w r. 1896ym. Otóż, choć Papież Leon XIII tego słowa nigdzie nie wymówił, i choć nie mamy osobiście takich stosunków, abyśmy mogli coś odgadywać z Jego utajonej myśli, śmiemy jednak wnosić i z tego co w innych okolicznościach wyrzekł, i z rozmów dygnitarzy Stolicy Śtej z naszymi rodakami, — że taka polityka miałaby zupełną Jego Świątobliwości aprobatę. Byłaby ona bowiem, nie opuszczeniem stanowiska narodowego — powiedzieliśmy dość jasno, że na niem mamy zostawić załogę, by utrzymać je, w całej pełni, przy życiu — ale byłaby ograniczeniem sporu naszego z Rosyą do szranków kwestyi religijnej; i to na dziś jest pozycją najkorzystniejszą do zajęcia. Taka polityka odjęłaby wrogowi powód do udawania, że w prześladowaniu Kościoła on ściga tylko połączoną z nim polskość — i pozyskałaby nam daleko otwartzsze i zupełniejsze poparcie Rzymu, któryby się już wówczas nie oglądał na niebezpieczeństwo narażenia na szwank nadziei połączenia Kościołów, przez branie strony naszej w walce czysto politycznej. — Byłoby to wytrąceniem Rosyanom argumentu, którym się oni zastawiają przed Ojcem Św., i którym w Rzymie najbardziej gmatwają i podnoszą przeciw nam opinię wyższych sfer kościelnych. Kłamać da się zawsze, ale okłamywani powinni usuwać to, co ułatwia kłamstwo.

Ale i opinia ludu rosyjskiego będzie mogła wyjść z tumanu kłamstwa, skoro zrozumie, że pokorne do tronu prośby o wolność religijną, to już nie polska intryga, lecz sprawa słuszności, i własna ludu sprawa. To pewna, że z tej wolności najwięcej lud skorzysta, czy rosyjski, czy polski. -- Bo, dla ludu, wiara jest największym dobrem, i lud najwięcej cierpi za wiarę. Grube ryby przez sieć niewoli zawsze się przedrą — i prześladowcy, nawet, sami ich unikają. Jest to więc sprawa, odpowiadająca dążeniom demokratycznym naszych czasów. Lecz o to mniejsza. To więcej znaczy, że będąc środkiem dzwignięcia ludzi ku Bogu, ku życiu godnemu człowieka, a zarazem środkiem najbardziej zwróconym ku oswobodzeniu mas ludzkich od fałszu niewoli, wolność religijna jest odpowiedniem myśli Stwórcy narzędziem.

Gdybyśmy więc, opuszczając działalność polityczną, zupełnie zresztą dla nas zamkniętą w dzielnicy rosyjskiej, chwilowo ograniczyli spór na polu ducha, byłoby to nietylko Bogu i naszej tradycji odpowiedniem, ale razem najbardziej politycznem i mądrym. Bo przez to rozszerzyłaby się nasza podstawa i utwierdziłaby się jedność wewnętrzna jednością dążenia z ludem. Ten rezultat więcej waży od wszystkich tych resztek odrębności administracyjnej, którym się tak wiele przypisuje wagi w Królestwie, gdzie się wciąż goni za cieniem autonomii, jakoby za szczytem możliwych od rządu koncesyji.

Nie liczymy tyle na możliwość uchwycenia zmiennego i nieuchwytnego Proteusza. Probowaliśmy nań siły i demonstracyi, i spisków, i modłów ulicznych, i wstydu świata, i strachu obcych. — Wszystko napróżno. Jeszcześmy się nie udali do Tego, co może wszystko, czego zechce. Lecz sprawy Bożej nie posunie się naprzód znową i polityką — komedią lub grzechem. Bóg jeden ją posunie, jeśli się Mu podszeregujemy, jeśli staniemy się społecznością, w której On jeden panuje i rządzi. Gdy będziemy mieli w sobie tajemnicę społecznego życia, ludzie będą się na nas oglądać

w miarę, jak spostrzegać będą własną próżnię i niemoc. »Potem poznają wszyscy, żeście uczniami mojemu, jeżeli miłość mieć będziecie jeden ku drugiemu«. (Jan 13).

I wtedy do nas sami przyjdą po iskrę ognia żywota: będą musieli przyjść.

A wtedy im powiemy: zaczynajcie od przyznania Bogu wolności w stosunku Jego z duszami, w Kościele wolnym od wpływu władz świeckich, *et omnia adjicientur vobis*.

A teraz pytamy, czy ta cała walka o wolność religii w Rosyi, może się toczyć przez część narodu, Rosyi podległą, podczas gdy inne jego części będą się jej przypatrywać tylko, ze stanowiska dzisiejszej polityki liberalnej. — Odpowiadamy bez wahania, że nie.

Już nie mówiąc o jedności wszystkich części kraju między sobą, walka taka za kordonem o wolność Kościoła nie mogłaby długo trwać, gdyby nie była popartą przez katolickie publiczne działanie w Galicyi. Nie miałyby ani głowy, ani centrum, ani punktu oparcia, ani prasy, ani duchownych, mogących radzić nad tem, nad czem innym by nie było wolno.

Galicya więc ma w tej sprawie przodujące i koncentracyjne zadanie. Lecz go nie spełni, jeśli się w niej katolicy nie zorganizują dla pracy narodowej i społecznej, niezależnie od pracy politycznej naszej reprezentacji w Wiedniu.

Wielka stąd na niej odpowiedzialność i wielka na ludziach, którzy zamiast się oddać pracy społecznej katolickiej, utonęli w polityce, i to jeszcze, w polityce, wyłącznie, utylitaryzmu i oportunistów, a reszty nie widzą.

Zanim złożę pióro, winienem oświadczyć, że we wszystkim, coby, w tej pracy, mogło się wydać nagannem Ś-mu Kościołowi Rzymskiemu, Matce naszej, zgóry wyrzekam się innego, niż kościelny, sposobu myślenia i rozumienia; i poddaję jego wyrokom wszelkie moje osobiste zapatrywania i interpretacje; aby przez to posłusznym być Ojcu Ś-mu Leonowi XIII, który naucza, że wierni nie tylko w rzeczach dogmatu i moralności powinni się poddawać Kościołowi, ale i w tem, co wolności zostawione, winni mu ulegać, jako uczniowie Mistrzowi.



32443/
2





32443/

2